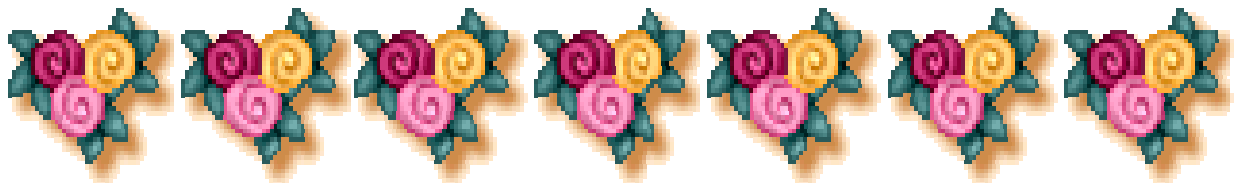




ANN CHARLTON



***Mąż* pani dyrektor**

Tytuł oryginału: Married to the Man

Przekład: Monika Chilewicz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Widząc wycelowane w nią obiektywy kamer oraz aparatów fotograficznych, Lori zebrała w sobie resztki sił i sprintem przebiegła linię mety. Była wykończona, jednak wrodzona duma kazała jej stać prosto, z wysoko podniesioną głową, kiedy podeszli do niej reporter wraz z kamerzystą.

- Linię mety maratonu w Canberze w pięknym stylu minęła właśnie Lorelei Tate, wicedyrektor Tate Corporation z Melbourne. Nic dziwnego, że rodzina nazywa ją superkobietą. Czy istnieje coś, czego ta dziewczyna nie potrafi dokonać? - Wszystkie te słowa reporter wyrzucał z siebie z szybkością karabinu maszynowego. - Jako studentka zdobywała wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia, jest najmłodszym z dyrektorów Tate, jedyną kobietą w zarządzie, a w wolnym czasie przygotowuje się do udziału w maratonach. Witaj, Lorelei. Dzisiejszy wynik jest wprawdzie nieco gorszy od twego życiowego rekordu, ale i tak powinnaś być nim usatysfakcjonowana. Jak się czujesz?

Owa „dziewczyna” przebiegła właśnie dystans czterdziestu dwóch kilometrów, toteż nogi miała jak z waty, ledwo mogła chwycić oddech, a serce waliło jej jak oszałałe. Świadoma skierowanego na nią obiektywu kamery, przywołała na twarz uśmiech.

- Świetnie - wysapała.

Znów ta duma. Wcale nie czuła się świetnie. Dotychczas fakt przekroczenia linii mety wprowadzał ją w stan euforii, tak że warto było dla tej jednej chwili podjąć ów morderczy wysiłek. Tym razem jednak Lori nie czuła kompletnie nic prócz całkowitego wyczerpania. Wokół niej maratończycy wykonywali ćwiczenia relaksujące, omawiając przy tym z ożywieniem sekrety diet, biorytmy oraz swoje życiowe rekordy. Inni przebiegali dopiero linię mety, ale reporter uparł się na rozmowę właśnie z nią. Lori z całego serca pragnęła, żeby sobie wreszcie poszedł. Miała ochotę rzucić się na trawę i jęczeć z bólu. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Nazywała się przecież Lori Tate i była uważana za kobietę o żelaznej woli. Nauczyła się zachowywać zimną krew, a jeśli już płakała, to tylko w poduszkę.

Superkobieta. To przezwisko wymyślił jej brat, po czym podchwycili je kuzyni. Trzeba przyznać, że było do pewnego stopnia słuszne. Niestety,

mężczyźni z rodu Tate'ów mieli dla niej jeszcze parę innych określeń. Kłątwa. Urok. Lori wołała nie pamiętać, z jakiego powodu tak ją nazywali.

- Świetnie - powtórzył za nią reporter. - Chciałem ci zadać jeszcze jedno pytanie, Lorelei. Skąd bierzesz czas na treningi? Jesteś przecież niesłychanie zajęta osobą.

To proste, pomyślała. Nie dosypiam, jeżdżę do sali gimnastycznej z samego rana, jeszcze przed śniadaniem lub po kilkunastu godzinach pracy w biurze. Nie spotykam się z nikim, chyba że w sprawach służbowych.

- Och, zawsze znajduję czas, gdy chodzi o coś naprawdę ważnego - odparła do kamery.

- Wspaniale. - Reporter poklepał ją po ramieniu. - Dziękuję za rozmowę. Teraz powinnaś napić się czegoś chłodnego. - Wręczył jej butelkę, na której widniała nazwa jednego ze sponsorów maratonu.

Powinnaś, powtórzyła w myślach Lori, wykonując głęboki skłon. To było ulubione wyrażenie jej kuzynów. „Powinnaś nauczyć się śmiać sama z siebie”. „Powinnaś być bardziej uступliwa”. Ta ostatnia uwaga padała zwykle wówczas, gdy Lori miała odmienne zdanie niż pozostali lub gdy domagała się tych samych przywilejów, jakimi cieszyli się mężczyźni z rodziny Tate'ów.

- Powinnaś znaleźć sobie jakiegoś faceta - ośmielił się powiedzieć jej rodzony brat, kiedy upomniała się o należne jej miejsce w radzie nadzorczej. - Zrobiłaś się zgorzkniała i agresywna.

Jednak od czasu, gdy odczytano testament Woody, Mark zdawał się być szczególnie zadowolony z faktu, że jego siostra nie znalazła sobie męża.

Na myśl o Woody, Lori poczuła ucisk w sercu. Wiedziała wprawdzie, że z biegiem czasu przywyknie do myśli o jej śmierci, ale jak na razie wciąż nie mogła uwierzyć w to, iż nigdy więcej nie usłyszy jej głosu w słuchawce, nie ujrzy jej na progu starego domku, otoczonego morzem pachnących lilii. Dom Woody był jej prawdziwym domem, a ona sama jedyną osobą, u której Lori mogła znaleźć zrozumienie. Starsza pani wiedziała, ile kosztowało ją zachowanie niezależności, wywalczenie należnej jej pozycji. Woody kochała ją, podziwiała jej zdolności i ambicje. A przynajmniej tak się Lori wydawało. W tej chwili po raz kolejny ogarnęło ją dojmujące uczucie zawodu. Woody, będąc matką chrzestną zarówno Marka, jak i jej, zapisała w testamencie swój dom nie Lori, a jej bratu, który w dodatku wcale nie darzył go specjalną sympatią. Tylko i wyłącznie Markowi, chyba że...

- Chyba że wyjdę za mąż, zanim skończę trzydzieści lat - żaliła się parę dni później Lori. Siedziała właśnie wygodnie w pracowni Fairlie Tate. Żona jej kuzyna, obiecująca malarka, przemieniła zagracone niegdyś mieszkanie Carsona w atelier, które pachniało farbami olejnymi, werniksem oraz terpentyną. - Jeśli spełnię ten warunek, odziedziczę dom wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje. Jeśli nie, otrzyma go Mark - dokończyła z ciężkim westchnieniem.

Fairlie, która na klęczkach mierzyła płótno na kolejny obraz, przeznaczony na zbliżającą się wystawę, pokręciła współczująco głową.

- Opracowano niedawno nowy plan zabudowy centrum miasta - ciągnęła Lori. - Dlatego Mark postanowił już, iż zburzy dom i sprzeda działkę wraz z tym cudownym ogrodem firmie, która chce wybudować tam ogromny biurowiec.

- Może jeszcze zmieni zdanie.

- Na pewno nie. To będzie jego kolejne zwycięstwo - mruknęła, nalewając sobie gorącej kawy. - Nie dalej, jak w zeszłym tygodniu mieliśmy sprzeczkę, dotyczącą kandydatów na wolne stanowisko w zarządzie. Ja popierałam wspaniałą, ambitną kobietę, ale to kandydat Marka otrzymał tę posadę. Owszem, jest kompetentny, lecz nic poza tym. No, ale przecież to mężczyzna, który należy do odpowiednich klubów i wyraża się we właściwy sposób.

- Słyszałam coś niecoś o tym. - Fairlie zmarszczyła brwi.

- Mężczyźni - prychnęła Lori, przyglądając się opartym o ścianę abstrakcyjnym obrazom kuzynki. - Oni negocjują warunki umowy, kobiety wydziwiają. Mężczyźni omawiają niedociągnięcia swych kolegów, kobiety natomiast obmawiają swe koleżanki za ich plecami. Mężczyźni noszą szare garnitury, niebieskie koszule i te same fryzury przez całe lata i nikt im tego nie wytyka, natomiast jest niemile widziane, gdy kobieta preferuje kostiumy i proste, funkcjonalne uczesania.

Fairlie zerknęła na doskonale skrojony bordowy kostium Lori oraz na jej jasnobrązowe włosy, ściągnięte do tyłu w gładki kok.

- Mogłabyś od czasu do czasu pokusić się o jakieś zmiany - przyznała.

- Nie mam czasu na uganianie się po sklepach w poszukiwaniu modnych fatalasek ani też na wizyty u fryzjera. Muszę współzawodniczyć z mężczyznami, którzy nie marnują czasu na poprawianie makijażu oraz sprawdzanie, czy nie poleciało im oczko w pończochach albo czy spod spódnicy nie wystaje halka - zaperzyła się Lori, zakładając nogę na nogę.

Szybko się jednak zreflektowała i powróciła do poprzedniej pozycji. - Odkąd ta Sharon, nie pamiętam jej nazwiska, zrobiła to samo w filmie, każda kobieta pomyśli dwa razy, zanim założy nogę na nogę - dodała z kwaśnym uśmiechem.

Fairlie również się uśmiechnęła, patrzyła jednak z niepokojem na drżące dłonie Lori, która, widząc jej uważne spojrzenie, postanowiła zmienić temat.

- A jak się miewa maleństwo? - zapytała.

Fairlie podniosła się z klęczek i pogładziła dłonią swój mocno zaokrąglony brzuch.

- Kopie bez opamiętania - odparła, uśmiechając się ciepło.

- Zostały już tylko dwa miesiące. Carson dosłownie szaleje z radości. Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie taki uszczęśliwiony, przecież już raz przechodził to samo z Davidem David zresztą też się cieszy, nie może się doczekać, kiedy będzie miał przyrodniego braciszka bądź siostrzyczkę.

To na pewno będzie braciszek, pomyślała Lori. W tej rodzinie pojawiali się przeważnie chłopcy, którzy potem dorastali i zajmowali należne im stanowiska w firmie, mając przed sobą perspektywę szybkiego awansu oraz samych pochlebnych opinii na temat ich umiejętności.

Dokończyła kawę, po czym sięgnęła po dzbanek, by nalać sobie jeszcze jedną filiżankę aromatycznego napoju.

- Ile filiżanek kawy pijesz dziennie? - zainteresowała się Fairlie.

Lori wzruszyła ramionami.

- Ręce ci się trzęsą - nie dawała za wygraną kuzynka. - Założę się też, że nie dosypiasz. Masz podkrążone oczy.

- Mam, no i co z tego?

- Wiesz, jak to się nazywa, prawda? Wycieńczenie. Lori zaśmiała się gorzko.

- Mylisz się. Tylko mężczyźni mają prawo do wycieńczenia. Kobiety mogą co najwyżej przechodzić załamanie nerwowe.

Zadrżała na myśl o tym, jak komentowano by w biurze jej załamanie nerwowe. „Jedna Lorelei... To na pewno ten ciężar odpowiedzialności. Nie można wymagać od kobiety, by była tak silna jak mężczyzna. Przypuszczaliśmy, że któregoś dnia się załamię”.

- Lori, powinnaś zrobić sobie wakacje - poradziła Fairlie, ustawiając pod ścianą gotowe do malowania płótno.

Powinnaś... Znowu ta sama śpiewka, pomyślała Lori ze złością.

- Nie mam na myśli jednego z tych twoich wypadów do zatłoczonego, zadymionego miasta, żeby wziąć udział w maratonie - kontynuowała kuzynka.

- Ależ ja nie mam czasu na prawdziwe wakacje - zaprotestowała Lori, machając ręką.

W tym samym momencie trzymana przez nią filiżanka uderzyła z impetem o ścianę i spadła w kawałkach na podłogę. Na jej eleganckim kostiumie pojawiły się brzydkie, brunatne plamy. Spojrzała w dół. Cieliste pończochy szpeciło szerokie oczko. Lori poczuła dziwny ucisk w gardle.

- Dziś rano włożyłam nową parę - poskarżyła się głosem, w którym wyraźnie brzmiała nuta hysterii. - Jak to możliwe, że ludzkość potrafi wynaleźć urządzenie do fotografowania najodleglejszych planet, a nie zdołała dotąd wyprodukować pończoch, które wytrzymałyby głupie dwadzieścia cztery godziny? - Zaskoczona swoją własną reakcją, popatrzyła z zawstydzeniem na kuzynkę.

- Potrzebujesz wakacji - powtórzyła Fairlie z naciskiem. - Im prędzej, tym lepiej. Pozwól mi się tym zająć. Poszukam ci takiego miejsca, w którym będziesz mogła się rozluźnić i zapomnieć o codziennych kłopotach, a zarazem pobawić się i poznać jakiegoś fantastycznego mężczyznę.

- O nie, żadnych mężczyzn. - Lori pokręciła stanowczo głową. - Chyba że znajdziesz jakiegoś odpowiedniego faceta, który zgodzi się ożenić ze mną przed końcem lipca, by zetrzeć ten okropny uśmiech wyższości z twarzy Marka, a potem odejdzie w siną dal.

Fairlie uśmiechnęła się z powątpiewaniem. Nigdy w życiu nie spotkała takiego mężczyzny i podejrzewała, że tacy w ogóle nie istnieją.

- Co sądzisz o tropikalnej wyspie? - podsunęła.

Wyspa. Samo brzmienie tego wyrazu miało kojący wpływ na skołatane nerwy Lori. Cisza, spokój, samotność...

- Cudownie. Najlepiej niech będzie bezludna. Wiesz, gdzie można taką znaleźć?

- Ja nie, ale znam kogoś, kto wie. Załatwię ci to. Nie będziesz się bała spać w namiocie? Jasne, że nie. - Fairlie odpowiedziała sama sobie. - Przecież tyle razy jeździłaś na obozy wędrownie i radziłaś sobie świetnie.

Namiot. Spokojne życie. Żadnych komplikacji. Żadnych luster. Żadnych pończoch. Żadnych niesprawiedliwych zapisów w testamentach. A przede wszystkim żadnych mężczyzn. To dopiero wakacje!

Dwa tygodnie później Lori wyruszyła na północ, gdzie czekała już jej wymarzona wyspa, a na niej namiot. Do tego rajy na ziemi miała ją zawieźć łódź, która również miała dostarczać jej co parę dni żywność oraz słodką wodę.

Lori była tak uszczęśliwiona perspektywą wakacji, że nie oponowała, gdy wujowie poprosili ją o wykonanie pewnego zadania. Otóż miała obejrzeć grunty przylegające do terenów należących do ich firmy, na wybrzeżu, gdzieś nieopodal jej wysepki. Ich właściciel, niejaki Callahan, prawdopodobnie zdecyduje się na ich sprzedaż, ale chciał wpierw spotkać się z jednym z dyrektorów Tate. Jako że zadanie to miało opóźnić jej przybycie na wysepkę zaledwie o kilka godzin, Lori wyraziła zgodę.

„Gdzieś nieopodal” okazało się oczywiście ponad sześćdziesięciokilometrową odległością, toteż Lori musiała wynająć samochód, aby się tam dostać.

Gdy znalazła się w maleńkim biurze Szkoły Przetrwania, należącej do Callahana, jakiś łysy mężczyzna, który przedstawił się jako Tom, poinformował ją, że pan Callahan spóźni się, gdyż otrzymał właśnie pilne wezwanie. Jeśli więc chciałaby, aby pan Callahan zawiózł ją na swoją działkę, powinna tu na niego poczekać. Na wszystkie pytania i protesty Lori reagował uśmiechem lub wzruszeniem ramion, od czasu do czasu zerkając taksująco na jej nogi.

Dla zabicia czasu Lori zaczęła się przyglądać licznym zdjęciom, przedstawiającym grupy entuzjastów, przepływających przez rwące rzeki i wspinających się na strome skały, a następnie przekartkowała cztery podręczniki na temat sztuki przetrwania autorstwa H. Callahana. Jako że nie dostrzegła nic więcej ciekawego w biurze, postanowiła wyjść i przejść się opustoszałą główną ulicą maleńkiego miasteczka. W Melbourne początek maja był wietrzny i chłodny, ale tu, w tropikach, wciąż panowało lato.

Callahan ma już ponad godzinę spóźnienia, pomyślała ze zniecierpliwieniem. W tej samej chwili niesłychany tuman kurzu zaanonsował czyjeś przybycie. Terenowy samochód z napędem na cztery koła wjechał z piskiem opon na parking nieopodal niewielkiego centrum handlowego. Z pojazdu wysiadł wysoki mężczyzna i trzasnąwszy gniewnie drzwiami, ruszył w kierunku biura Callahana.

Lori zamrugała oczyma. To z pewnością sam Callahan, zdecydowała. Wyglądał nie tyle na kogoś, kto się spieszy, ile na osobę, delikatnie

mówiąc, w złym humorze. Lori zamknęła oczy, dodała sobie otuchy myślą o rychłych wakacjach na wyspie i udała się za nim.

- Nie ma jej tu. Poszła na spacer - usłyszała zza drzwi głos Toma. - Twarda sztuka, widać, że przyzwyczajona do wydawania rozkazów. Zdaje się też, iż/nie lubi, gdy się jej każe czekać. No, ale co się dziwić, pochodzi przecież z rodziny Tate'ów.

Lori usłyszała w odpowiedzi mruknięcie, a potem dziwne brzęczenie, które zagłuszyło dalszą część rozmowy.

- Żadnych pomyślnych wiadomości z urzędu skarbowego? - dał się słyszeć głos Toma, gdy brzęczenie umilkło. - Będziemy musieli zwinąć interes, szefie?

- Wyznaczyli nam termin spłaty, co znaczy, że przepracujemy jakiś miesiąc czy dwa. Och, gdybym tylko dostał w ręce tego księgowego... - Drugi mężczyzna powiedział to takim głosem, że nie było wątpliwości co do jego zamiarów wobec winowajcy.

- Powinieneś spróbować szczęścia na loterii. Albo poszukać bogatej wdowy. Zresztą niekoniecznie wdowy, ważne, by była bogata.

Znow to okropne słowo „powinieneś”. Lori zrobiło się przez chwilę szkoda tego Callahana. A jeszcze bardziej wszystkich bogatych wdów w okolicy. Już, już miała zapukać, gdy nagle usłyszała swoje imię.

- Mógłbyś się zainteresować tą Lorelei Tate - podsunął ze śmiechem Tom. - Jakoś nikt do tej pory tego nie uczynił...

Jaki dowcipny! Lori zapukała, ale w tym samym momencie ponownie rozległo się brzęczenie.

- Zdaje się, że jest koło trzydziestki - ciągnął Tom, gdy wreszcie zrobiło się cicho. - Gładka fryzura, elegancki kostium, a do tego takie przenikliwe spojrzenie, że aż ciarki przechodzą. W dodatku ręce ma takie zimne, że może zmrozić samym dotykiem. Ale gdybyś się z nią ożenił, mógłbyś leżeć do góry brzuchem i myśleć o swym koncie w banku szwajcarskim - roześmiał się, zadowolony ze swego dowcipu. - Imię ma wprawdzie okropne, Lorelei, ale oczy ma naprawdę ładne, szare, nogi też całkiem niezłe.

- A więc nie byłoby to aż takie poświęcenie - odparł Callahan z ironią.

Lori nie mogła nie usłyszeć nuty sarkazmu w jego głosie.

Po tym nastąpiło jeszcze kilka równie niepochlebnych uwag z ust Toma. Lori aż gotowała się z wściekłości, bezmyślnie pocierając swe zawsze lodowate dłonie. Jak on śmiał opowiadać o niej, jakby była towarem na

półce, czekającym, aż zainteresuje się nim jakiś zadowolony z siebie mężczyzna. Postanowiwszy wreszcie przerwać tę ich rozkoszną pogawędkę, zapukała głośno do drzwi.

- Ach, witam, panno Tate. - Tom otworzył drzwi. – Callahan i ja właśnie rozmawialiśmy o pani. Zastanawialiśmy się, dokąd pani poszła.

Ależ on ma tupet, pomyślała.

- A więc ów Callahan naprawdę istnieje? - odparła sucho.

- Świetnie, bo już zaczynałam podejrzewać, że to tylko wytwór pańskiej wyobraźni.

- To ja jestem Callahan - odezwał się drugi mężczyzna, stając w drzwiach.

A jednak mógł on uchodzić za wytwór wyobraźni i niewątpliwie wiele kobiet marzyło o mężczyźnie takim jak on. Był doskonale zbudowany - miał szerokie ramiona, smukłe biodra i długie nogi. Zarówno jego sylwetka, jak i pozycja, jaką przyjął, zdradzały drzemiacą w nim siłę. Jego oczy ocienione były daszkiem sportowej czapki, mimo to Lori dostrzegła w nich błysk zainteresowania.

Callahan włożył elektryczną maszynkę do golenia do futerału i schował ją do przepastnej kieszeni mocno sfatygowanych wojskowych spodni. Z nie ukrywanym brakiem entuzjazmu wyciągnął rękę do Lori. Albo był mężczyzną, który nie lubi wymieniać uścisku dłoni z kobietami, albo obawiał się odmrożenia.

- Jestem bardzo zajęta osobą, panie Callahan - odezwała się chłodno Lori. - Mógł pan chociaż poinformować mnie telefonicznie, jak długo pana nie będzie.

Callahan wyduł gniewnie usta. Najwyraźniej nawet arcyśmieszne żarty Toma nie zdołały poprawić mu humoru.

- Następnym razem przyniosę usprawiedliwienie od mamy - odparował.

- Jest pani gotowa?

Postąpił parę kroków w stronę wyjścia. Jego ciężkie traperskie buty zadudniły na drewnianej podłodze. Zatrzymał się i zdjawszy czapkę, przejechał ręką po włosach. Lori ze zdumieniem zauważyła, że miał z tyłu kucyk. Generalnie nie lubiła długowłosych mężczyzn. Zawsze wyobrażała sobie ich, jak zbierają w rękę włosy, aby związać je w koński ogon, który to gest był tak kobiecy, że nijak nie pasował do mężczyzny.

Tymczasem Callahan otworzył drzwi i jakby czując na karku wzrok Lori, odwrócił się gwałtownie. Wskazał jej gestem, by szła przed nim.

Nawet jeśli dostrzegł jej niechęć, nie dawał tego po sobie poznać. Prawdopodobnie wcale go to nie obchodziło. Nie należał do osób, które za wszelką cenę zabiegają o względy potencjalnych klientów.

Trzasnąwszy drzwiami, ruszył w kierunku swego samochodu.

- Panie Callahan - odezwała się tonem protestu Lori. - O ile pańskie samopoczucie nie uległo poprawie, wolałabym nie wsiadać do samochodu z panem jako kierowcą.

Otwierając drzwi pasażera, spojrzął na nią z niedowierzaniem.

- Widziałam, jak pan tu przyjechał - wyjaśniła. - Właśnie rozpoczynam pierwsze od trzech lat wakacje, więc naprawdę życie jest mi miłe. Mam tu wypożyczony samochód, proponuję, żebyśmy pojechali nim.

- Mamy do przejechania ponad dwadzieścia kilometrów wyboistą polną drogą - poinformował z ironią w głosie. - Nie mam ochoty wyciągać pani ślicznego auta z pierwszej lepszej dziury, więc albo bierzemy mój samochód, albo nie jedziemy wcale.

- Jest pan bardzo nieuprzejmy, panie Callahan!

- Przepraszam - mruknął, ale w jego głosie nie słychać było ani odrobiny skruchy. - Miałem ciężkie przedpołudnie.

- Czy naprawdę czuje się pan na siłach, żeby prowadzić? - spytała, zerkając na zegarek.

- Dlaczego sądzi pani, że mogłoby być inaczej?

- Cóż, zjawia się pan spóźniony, w złym humorze, oczy ma pan podkrążone, goli się w ostatniej chwili. Czyżby męczył pana kac?

- Nie, nie mam kaca, panno Tate - odparł lodowatym tonem.

- Jeśli chce pani jechać, to proszę wsiadać, a jeśli nie, żegnam.

Lori miała ochotę dać sobie spokój z tą transakcją, jednak już i tak straciła sporo czasu, więc nie chciała, by poszedł całkiem na marne. Postanowiła zacisnąć zęby i doprowadzić sprawę do końca. Jej ruchy krępowała wąska spódniczka, toteż musiała ją nieco podciągnąć, by wejść do auta, co oczywiście nie uszło uwagi Callahana. Przez moment zastanawiała się, czy aby nie poleciało jej oczko w pończosze, szybko jednak przypomniała sobie komentarz Toma na temat jej nóg. Ciekawe, czy Callahan zgadzał się z opinią swego podwładnego. Zresztą, zdanie tego gburca nic a nic jej nie interesowało.

- Co pani spodziewa się zobaczyć? - odezwał się ponownie. - Ubrała się pani jak na przechadzkę po słynnym kurorcie.

- Panie Callahan - warknęła, przyciskając do siebie aktówkę. - Zawsze tak się ubieram, gdy załatwiam sprawy służbowe. Proszę mnie zawieźć na swą działkę, nie interesując się stosownością mego stroju.

Callahan sięgnął bez słowa do skrytki przed siedzeniem pasażera. Czegóż tam nie było - gumowe rękawice, kawałki gazety, opakowania po chlebie, mapy i różne inne drobiazgi. W końcu wyłowił stamtąd okulary przeciwsłoneczne. Zamiast je założyć, pochylił się jeszcze bardziej w kierunku Lori i przyglądał się otwarciu jej twarzy. Jego ciemnoniebieskie, ocienione długimi, gęstymi rzęsami oczy lśniły zainteresowaniem. Lori musiała niechętnie przyznać, że był naprawdę przystojny, choć zupełnie nie w jej typie.

- Dlaczego pan się tak we mnie wpatruje? - zirytowała się w końcu.

- Ja? Wpatruję się? Skądże znowu.

-Przecież, widzę - odparła chłodno, patrząc mu prosto w oczy. Jeśli przeszły go ciarki pod wpływem jej „przenikliwego” spojrzenia, nie dał tego po sobie poznać. Lori natomiast poczuła dziwny dreszczyk.

- Przepraszam, ale nigdy jeszcze nie widziałem dyrektora Tate. To znaczy, nie w całej okazałości... Jeśli można to tak nazwać - poprawił się, zerkając znacząco na jej zapiętą pod samą szyję bluzkę.

- Nie jestem typowym dyrektorem Tate. Przede wszystkim jestem jedyną kobietą na tym stanowisku.

- Podejrzewam, że kobieta o tym nazwisku jest jeszcze bardziej niebezpieczna niż jej kuzyni.

- Może pan spać spokojnie, minie jeszcze wiele czasu, zanim kobiety zasiądą w gabinetach Tate. Moi kuzyni już się o to postarają.

Callahan spojrział na nią z takim zdumieniem, że od razu pożałowała swej gorzkiej uwagi. Na szczęście nic nie powiedział, tylko odsunął się na swoje miejsce i założył okulary.

- Powiedział pan „nie w całej okazałości” - odezwała się po chwili Lori.

- Czy oznacza to, że miał już pan do czynienia z naszą firmą? To duże przedsiębiorstwo, panie Callahan, nie muszę wiedzieć o wszystkich sprawach - dodała, widząc jego niedowierzające spojrzenie.

- Pani firma już dawno miała chrapkę na moje tereny. Stosowaliście takie metody, że w końcu pozwałem was do sądu - wyjaśnił, uruchamiając silnik.

- I co było dalej?

- Wygrałem - odparł lakonicznie. - Wygrałem potyczkę, ale, jak widać, przegrałem wojnę. Jednak proszę nie myśleć, że uda się pani wyciągnąć ode mnie tę działkę za półdarmo. Mam jeszcze jednego chętnego.

- Każdy tak mówi, panie Callahan - mruknęła, otwierając aktówkę. Jej wzrok padł na kolorową broszurę przewoźnika, którego łodzią miała się dostać na swą wysepkę. Duże zdjęcie przedstawiało niewiarygodnie błękitne morze i tonącą w zieleni wyspę. Dla Lori, która siedziała w dusznym samochodzie w towarzystwie opryskliwego kierowcy, widok ów był nie bardziej realny niż fatamorgana.

- Pomiął pan coś - odezwała się po paru chwilach.

- Słucham? - Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Z prawej strony, tuż pod uchem.

Callahan przyjrzał się swemu odbiciu w lusterku wstecznym, po czym przesunął dłonią po wskazanym miejscu, gdzie istotnie znajdowała się spora kępka nie tkniętego maszynką zarostu. Nagle roześmiał się głośno, ukazując rząd równych, białych zębów.

- Proponuję, żeby teraz, dla oszczędzenia czasu, odpowiedział mi pan na parę pytań, dotyczących interesującej mnie działki - odezwała się Lori oficjalnym tonem, gdyż niespodziewany urok, jaki odkryła w uśmiechu Callahana, zbił ją nieco z tropu.

Ledwo skończyła to mówić, zajechał im drogę srebrzysty sportowy samochód, z którego wysiadła długonoga, rudowłosa kobieta. Z miny, z jaką Callahan zaciągał ręczny hamulec, Lori wywnioskowała, że nie był uradowany tym spotkaniem. Mimo to wysiadł. Nie zdążył nawet dojść do mercedesa, gdy płomiennowłosa piękność rzuciła mu się w ramiona.

Nieznajoma była niesłychanie atrakcyjną, mniej więcej trzydziestoletnią kobietą o nienagannej sylwetce. Na jej smukłych nadgarstkach pobrzękiwało całe mnóstwo złotych i srebrnych bransoletek. Nawet kostki miała ozdobione cieniutkimi łańcuszkami.

Lori odwróciła wzrok od tej wymownej sceny, próbując skoncentrować się na przeglądaniu dokumentów, jednak nie mogła się powstrzymać od zerkania w kierunku tych dwojga. Callahan tulił do piersi rudowłosą piękność, jakby chciał ochronić ją przed całym światem. Czulość, z jaką gładził ją po włosach, niespodziewanie wzruszyła Lori. Tym razem moja intuicja zawiodła, pomyślała z dziwnym żalem. Spotkanie to niebyło dla Callahana ani trochę nieprzyjemne.

Aby się czymś zająć i nie patrzeć na ów romantyczny obrazek, sprawdziła, czy nie ma oczka w pończosze, a potem, czy nie odprysł jej lakier z paznokci. W końcu zabrała się za porządki w skrytce przed siedzeniem pasażera. Jednak minuty mijały, a owa para wciąż nie miała siebie dość. Za to Lori stwierdziła, że jej cierpliwość się wyczerpała.

- Nie chciałabym przeszkadzać, panie Callahan - zaczęła, otwierając drzwi - ale ile to jeszcze, pana zdaniem, potrwa?

Uwaga ta sprawiła, że Callahan ruszył w kierunku samochodu, a wraz z nim podeszła uwieszona u jego ramienia rudowłosa nieznajoma. Lori ze zdziwieniem ujrzała, iż jej twarz zalana jest łzami.

- Przepraszam, to moja wina - odezwała się kobieta. - Bądź co bądź nie co dzień się zdarza, że ktoś ratuje życie mego syna.

Najwyraźniej znów pomyślała o tym, co mogło się stać, gdyż ponownie zacisnęła swe wypielegnowane dłonie wokół ramienia mężczyzny.

- Tony mógł zginąć, gdyby nie ty... Jak ja ci się zdołam odwdzięczyć? - zaszczębiotała.

- Wystarczy, że dopilnujesz, by ten szczeniak nie pakował się w kłopoty - poradził. - Powiedziałem mu, żeby przyszedł do mnie, jak wyjdzie ze szpitala, to nauczę go paru rzeczy. Nie pozwól mu iść na wspinaczkę, zanim się do mnie nie zgłosi. I jeszcze jedno, wyrzuć każdy kawałek starej liny, jaki tylko znajdziesz w domu.

- Obiecuję, że spalę je wszystkie - zapewniła żarliwie, po czym wspięła się na palce i cmoknęła Callahana w usta. - Do zobaczenia wieczorem!

Callahan zawahał się przez chwilę, w końcu jednak kiwnął głową.

- Wpadnę po ciebie koło ósmej - mruknął. Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. - Wszystko będzie dobrze, nie martw się, Justine.

Wychylił się przez okno i po raz ostatni uściśnił serdecznie dłoń kobiety. Po chwili srebrzysty mercedes odjechał.

- He lat ma Tony? - spytała Lori z zaciekawieniem.

- Szesnaście.

- Czy pan... - zawahała się. - Czy pan go naprawdę uratował?

Callahan kiwnął głową.

- Ten głupi dzieciak schodził po stromej ścianie skalnej, mając za cały ekwipunek jedynie trzydziestoletnią linę, która nigdy nie nadawała się do tego celu. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Miał szczęście, że noga

utkwiła mu w szczelinie, bo gdyby próbował zejść jeszcze niżej, lina niechybnie by się urwała.

- Tom powiedział mi, że otrzymał pan nagłe wezwanie. Czyżby pan był ratownikiem? - zainteresowała się.

- W pewnym sensie. Zajmuję się tym, gdy jestem w bazie. Lori przyjrzała się badawczo jego dumnemu profilowi.

- Ten chłopiec mógł zginąć, gdyby nie przybył pan na czas - odezwała się ponownie, a w jej głosie słychać było podziw.

- Musiało to panem wstrząsnąć, prawda?

- Wciąż się pani obawia, że nie jestem w stanie prowadzić?

- Uśmiechnął się. - To kwestia przyzwyczajenia. Nieraz musiałem siadać za kierownicą po dużo bardziej dramatycznych wydarzeniach niż to dzisiejsze. Proszę spojrzeć. - Podsunął jej przed oczy prawą dłoń. - Ani trochę się nie trzęsie.

To prawda. Jego silna, duża ręka nawet przez moment nie zadrżała. Niech Bóg ma w swej opiece niesolidnego księgowego, gdy Callahan w końcu dostanie go w swe ręce, pomyślała. Duże, opalone, zręczne dłonie, które równie dobrze radziły sobie, gdy trzeba było ratować zwisającego na sfatygowanej linii chłopca, jak i wtedy, gdy czułym głaskaniem trzeba było uspokoić roztrzęsioną kobietę.

Callahan posiadał umiejętności, które mogły zdecydować o czyimś życiu bądź śmierci,- toteż Lori poczuła ogromny szacunek do siedzącego obok, niedawno jeszcze nie znanego jej mężczyzny. Szkoła Przetrwania Callahana. Do tej pory nie bardzo zastanawiała się, co ta nazwa naprawdę za sobą kryje.

- Mógł mi pan wytłumaczyć, co było prawdziwym powodem pańskiego spóźnienia, gdy składałam je na karb kaca.

- A co miałem powiedzieć? - Posłał jej kpiące spojrzenie.

- Przepraszam, że się spóźniłem, ale byłem zajęty ratowaniem komuś życia? Przecież i tak by mi pani nie uwierzyła.

Miał rację. Trudno byłoby uwierzyć w takie usprawiedliwienie.

- Justine musiała być bardzo młoda, gdy urodziła dziecko

- odezwała się po dłuższej chwili i od razu pożałowała, że w porę nie ugryzła się w język. Teraz wyjdzie na to, że chciała wy badać, jakie stosunki łączą Callahana z piękną Justine, a ta kwestia wcale, ale to wcale jej nie obchodziła.

- Miała dziewiętnaście lat - wyjaśnił. - To wspaniała kobieta. Przeprowadziła się tu z synem kilka miesięcy temu. Prowadzi galerię w pobliskim kurorcie, sprzedaje dzieła sztuki nieco bardziej wybrednym turystom. Świetnie sobie radzi - dodał z nie skrywanym uznaniem.

- Wdowa? - mruknęła z przekąsem Lori. - Może powinien pan się nią zainteresować, szczególnie jeśli jest bogata...

- Słyszała pani to wszystko? - rzucił jej zdumione spojrzenie.

- Prawie. Przypuszczam, że dźwięk pańskiej maszynki do golenia oszczędził mi najgorszego... - Lori umilkła, chcąc dać Callahanowi szansę przeprosin. - Cóż to, nie ma pan zamiaru przeprosić, że natrząsał się pan ze mnie? - upomniała się, gdy wciąż milczał.

- Trzeba było nie podsłuchiwać - odrzekł, wzruszając ramionami. - A co do Justine, jej mąż żyje i miewa się świetnie. Są w separacji, ale on jest uparty jak osioł i nie chce nawet słyszeć o rozwodzie. Tony przysparza ostatnio sporo kłopotów matce. Cóż, nic dziwnego. Potrzebuje męskiej ręki.

Lori stwierdziła nagle, że ma dosyć słuchania o tym, jaką to wspaniałą kobietą jest Justine i jak bardzo jej się nie powiodło w życiu.

- Bardzo to fascynujące, co pan mówi, ale proponuję, żebyśmy wreszcie porozmawiali o interesach - oświadczyła chłodnym tonem.

- Przypominam, że to pani zaczęła ten temat - odparował. Ku zadowoleniu Lori, stracił rezon, gdy zaczęła zadawać mu pytania dotyczące działki. Na jego czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka, a głos nabrał nieprzyjemnie szorstkiego tonu. Gdy dotarli do bramy wjazdowej, w kabinie samochodu zapanowało milczenie.

Lori bardzo szybko zrozumiała, dlaczego reakcja Callahana była taka, a nie inna. Kiedy tylko minęli bramę, ich oczom ukazał się przepiękny widok. Niskie pagórki porastały gęsto drzewa eukaliptusowe, w wąwozach pyszniły się kępy krzewów odmian typowych dla terenów tropikalnych. Nieopodal płynęła rzeczka, która dzielnie torowała sobie drogę przez skały, raz przeciskając się przez wąziuteńką szczelinę, to znów rozlewając się w miniaturowe jeziora. Jej brzegi, porośnięte bujną roślinnością, dawały schronienie licznym gatunkom ptaków wodnych, a także purpurowym, zielonym i szafirowym papugom.

Znajdujący się na działce dom był już zamieszkały, choć jeszcze nie wykończony. Stał na niewielkim pagórku, zwrócony frontem ku rzeczce, tyłem zaś ku kępie drzew iglastych.

- To naprawdę niezwykle miejsce - szepnęła z zachwytem Lori.

Teraz już rozumiała, dlaczego perspektywa utraty tego domu tak bardzo trapiła Callahana. Przecież ona sama czuła się podobnie, gdy myślała o tym, że ktoś inny zostanie właścicielem domu Woody. Co gorsza, również temu budynkowi groziła rozbiórka. Zainteresowani tym terenem japońscy inwestorzy niechybnie wytną wszystkie rosnące tu drzewa, a na ich miejsce posadzą modne odmiany palm, zasypią wąwozy i uregulują bieg rzeczki. Może nawet zdecydują się na wykopanie sadzawki, nad którą ustawią metalowe stoliki z kolorowymi parasolkami.

Niektórzy nazywają takie zmiany postępem cywilizacji. Sama Lori wiele razy używała tego określenia. Tylko że ostatnio coraz częściej zdarzało jej się zastanawiać, czy aby na pewno świat potrzebuje jeszcze jednego biurowca bądź ekskluzywnego hotelu. W tej chwili poczuła, iż nieoczekiwanie znalazła nić, łączącą ją z towarzyszącym jej mężczyzną.

- Czy buduje pan wszystko własnoręcznie? - spytała z ciekawością.

- Raczej budowałem - odparł lodowatym tonem. - Chciałem dobudować jeszcze jedno skrzydło, żeby móc prowadzić zajęcia z większymi grupami.

- Czyżby było aż tylu chętnych, by poznać tajniki sztuki przetrwania?

- W mojej szkole nie znajdzie pani ani jednego żądnego przygód mieszczucha, jeśli o to pani chodzi. Australia to duży, miejscami bezludny kontynent, gdzie wszystko może się zdarzyć, dlatego przychodzą do mnie ludzie, których praca wyińaga, by posiadli umiejętność przetrwania nawet w najmniej sprzyjających warunkach: piloci, kierowcy, badacze przyrody, filmowcy... - Przerwał na moment, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Byłem tak zajęty ratowaniem życia temu nieznośnemu chłopakowi, że nie zdążyłem zjeść śniadania. Czy wejdzie pani do mnie na filiżankę kawy, czy może i na to nie ma pani czasu, panno Tate?

- Z wielką przyjemnością napiję się kawy, panie Callahan.

Dom urządzony był nieco po spartańsku, ale miał swój nieodparty urok. Niepowtarzalnej atmosfery dodawały mu okna. W większość z nich wmontowane były kolorowe szybki witrażowe, które barwiły promienie słoneczne na różowo, zielonkawo i pomarańczowo.

Gdy znaleźli się w kuchni, Callahan od razu przystąpił do przygotowania śniadania, składającego się z jajecznicy z sześciu jaj, całej góry tostów oraz mocnej, aromatycznej kawy. Kiedy już wszystko było gotowe, przenieśli się na werandę, gdzie rozłożyste drzewa, przypominające nieco paprocie, rzucały rozkoszny cień.

- Proszę się poczęstować - powiedział, widząc wygłodniały wzrok, jakim Lori patrzyła na stos rumianych tostów.

- Ja także nie jadłam śniadania - wyjaśniła pomiędzy jednym a drugim kęsem. - Pański przyjaciel, Tom, nie zaproponował mi nawet filiżanki kawy.

- W takim razie z pewnością przypadła mu pani do gustu - odparł, a widząc jej zdumione spojrzenie, dodał: - Robi okropną kawę.

Lori roześmiała się głośno, po czym sięgnęła po kolejnego tosta.

- Raczej wątpię - mruknęła. - Mam na myśli to, że mu przypadłam do gustu. Nie należę do kobiet, które od razu zdobywają sympatię mężczyzn. Powiem więcej, jestem z tych, które w ogóle rzadko zdobywają ich sympatię.

- A dlaczegoż to?

- Wiem z pewnego źródła, że jestem zbyt agresywna, nie mam poczucia humoru, a w dodatku zupełnie nie interesuje mnie, co jest modne w danym sezonie - wyjaśniła z kwaśnym uśmiechem.

- Kto jest tym źródłem?

- Wujowie, kuzyni i brat. Uważam jednak, że tak naprawdę powody są inne.

- Tak? - zdziwił się. - A jakie mianowicie?

- Jestem zbyt inteligentna, zbyt ambitna i zarabiam więcej pieniędzy niż większość mężczyzn. Już jedna z tych cech wystarczy, by zdyskwalifikować kobietę w oczach faceta, a co dopiero wszystkie trzy. - Uśmiechnęła się z przekąsem.

- Nie martwi to pani?

- Wiem, czego chcę od życia. Już dawno odkryłam, że nie mogę jednocześnie zabiegać o to i o sympatię mężczyzn. Wybrałam więc karierę.

Lori była zadowolona, że rozmowa potoczyła się w tym kierunku. Niech obaj, on i Tom, wiedzą, iż nie jest zahukaną starą panną, dla której praca zawodowa stanowi rekompensatę za brak zainteresowania ze strony mężczyzn. Po chwili jednak przyszedł moment zastanowienia. Co też jej przyszło do głowy, by opowiadać o takich rzeczach kompletnie obcej osobie? Naprawdę potrzebuję wakacji, pomyślała z niesmakiem. I to najlepiej na bezludnej wyspie.

- A co z kochankami? - spytał Callahan, kończąc jajecznicę. - Chyba trzeba zdobyć się na odrobinę wysiłku, by zatrzymać przy sobie kochanka.

Lori poczuła, jak się rumieni. Postanowiła jednak nie dać po sobie poznać, jak bardzo zawstydzila ją ta uwaga.

- Czy dostanę jeszcze trochę kawy? - zapytała, podnosząc pustą filiżankę.

- A więc jednak to prawda, że lubi pani dyrygować ludźmi, panno Tate - zauważył Callahan, rozpieszczając się wygodnie na krześle. - Za każdym razem, gdy rozmowa zbliża się do tematu, który pani nie odpowiada, od razu ją pani przerywa. Ktoś mógłby nazwać panią despotką.

- Są tacy, którzy już mnie tak nazwali.

- Powiem więcej, tylko odważny mężczyzna mógłby się podjąć ujarznienia pani.

- To również już słyszałam.

Callahan przyglądał się jej spod na wpół przymkniętych powiek. Promienie słoneczne igrały w jego gęstych, lśniących włosach. Lori zaczęła się mimowolnie zastanawiać, czy jego włosy były śliskie w dotyku. Jak wyglądałyby rozpuszczone? Czy rozsypałyby się łagodnie, zasłaniając wyraźne kości policzkowe, okalając miękko tę przystojną twarz... Spojrzenie w te wyraziste ciemnoniebieskie oczy przyprawiło ją o dziwny dreszcz, któremu w dodatku towarzyszył szum w głowie.

- Ale ja już raz byłem dziś odważny - odezwał się Callahan z ironicznym uśmiechem. - Jaka szkoda.

Ton jego głosu sprawił, że ów magiczny nastrój prysł. Przecież Lori tak naprawdę nie lubiła długich włosów u mężczyzn. Ta chwilowa fascynacja była z pewnością efektem przemęczenia, natomiast źródłem owego tajemniczego szumu były rosnące nieopodal drzewa, poruszane przez wiatr. Jeśli nawet serce Lori zabiło przez chwilę mocniej, to z powodu nadmiaru kofeiny w organizmie.

- Nie sądzę, by istniała potrzeba ujarznienia mnie - skomentowała lodowatym tonem, odstawiając pustą filiżankę na stół. - Podejrzewam jednak, że byłby pan gotowy spróbować swych sił raczej z powodu pana fatalnej sytuacji finansowej.

Ta uwaga położyła kres jego dobremu samopoczuciu. Poślawszy Lori wściekłe spojrzenie, wstał, by pozbierać talerze, po czym poszedł do kuchni.

- Dziękuję za przypomnienie - burknął po powrocie na werandę. - Przez chwilę już zaczynałem... Prawie zapomniałem, że pani nazywa się Tate.

Proponuję, żebyśmy pojechali obejrzeć moją działkę. Chcę to mieć jak najszybciej z głowy.

Po blisko dwóch godzinach telepania się po wertepach zajechali z powrotem na miejsce, gdzie Lori pozostawiła swój samochód. Callahan zdjął okulary i zmierzył ją pochmurnym spojrzeniem.

- Jak rozumiem, zamierza pani spędzić wakacje w samotności?

- Owszem - odparła nieco zdziwiona tym pytaniem. - Waśnie tak je sobie zaplanowałam.

- Cóż, panno Tate, przypuszczam, że należy pani do osób, które zawsze zdobywają to, czego chcą. - Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Odjeżdżając sprzed biura Szkoły Przetrwania Callahana, Lori próbowała poprawić sobie nastrój myśleniem o czekającej już na nią małej, samotnej wyspie, na której nie będzie musiała wysłuchiwać uwag aroganckich, pewnych siebie mężczyzn.

Trzy dni później siedziała na ogromnym kamieniu, mając na sobie jedynie majteczki od kusego kostiumu kąpielowego. Klimat tropikalny wprowadził ją w błogie rozleniwienie, całymi godzinami potrafiła wystawiać twarz do słońca czy też kąpać się w niesłychanie przejrzystej wodzie. Mimo to świadoma była jednak, że jej wakacje przebiegały nie do końca tak, jak to sobie zaplanowała.

Owszem, wyspa była nie zamieszкана, a grupa naukowców z uniwersytetu stanu Queensland zgodnie z obietnicą pozostawiła dla niej rozbity namiot. Fairlie zdobyła pozwolenie, by Lori zamieszkała na wyspie, w zamian za obietnicę, że będzie wykonywała drobne prace dla tej uczelni. Do jej obowiązków należało codzienne sprawdzanie wielkości opadów oraz podlewanie dziwacznych roślin, rosnących w dużych donicach. Nie były to uciążliwe zajęcia, wręcz przeciwnie, działały na nią uspokajająco.

Niestety, Fairlie zapomniała dodać, że wysepka, na której mieszkała Lori, miała swą siostrę bliźniaczkę, oddzieloną zaledwie wąskim pasem rafy koralowej. Co gorsza, na owej wyspie znajdował się duży ośrodek wypoczynkowy. Wczasowicze przez cały dzień oddawali się rozkoszom kąpieli, pływali kajakami oraz żaglówkami, a także nurkowali tuż pod powierzchnią wody, by móc podziwiać egzotyczne piękno podwodnego świata. Najgorsze było jednak to, że podczas odpływu bliźniacze wyspy łączyła szeroka piaszczysta łacha, po której mieszkańcy ośrodka

przechodzili na wyspę Lori, gdzie aż do przypływu smażyli się na słońcu bądź nurkowali. Nie trzeba dodawać, że robili przy tym wiele hałasu.

Wieczorami Lori przypatrywała się z daleka rzęsiście oświetlonym budynkom ośrodka. Czasem, gdy wiatr wiał w jej kierunku, słyszała dźwięki muzyki, śmiech i rozmowy. Był to nie znany jej świat, zupełnie inny od tego, w którym żyła na co dzień. Nigdy nie miała czasu na przyjęcia. Jeśli już się dokądś wybierała, były to spotkania o charakterze służbowym. Teraz jednak, siedząc wieczorami na plaży, czuła się samotna i z zazdrością przysłuchiwała się odgłosom dobrej zabawy. W takich chwilach upominała się, że przecież ma to, czego chciała. „Należy pani do osób, które zawsze zdobywają to, czego chcą...”

W ciągu dnia Lori szczególnie lubiła przebywać w niewielkiej zatoczce, leżącej po przeciwnej względem ośrodka wypoczynkowego części wyspy, gdzie słyhać było brzęczenie cykad oraz śpiew ptaków. Delikatnie falująca woda mieniła się tysiącami odcieni, od akwamaryny, przez szmaragdową zieleń aż po fiolet, w miejscach, gdzie obmywała rafę koralową.

Siedząc na swym ulubionym kamieniu, Lori dostrzegła pojawiające się na powierzchni wody bąbelki powietrza. Cóż to mogło być? Przyjrzała się uważniej i spostrzegła jakiś ciemny kształt tuż pod powierzchnią wody. Podciągnęła kolana pod brodę, niepewna, jak powinna zareagować. A może to rekin? Już była na krawędzi paniki, gdy przypomniała sobie, że przecież rekiny nie wypuszczają bąbelków powietrza. Długi, ciemny kształt najwyraźniej płynął w kierunku jej kamienia. Minęło parę sekund, zanim Lori dostrzegła, że to przecież płetwonurek, wynurzający się na powierzchnię. Niewątpliwie był to mężczyzna, na co wskazywał kształt barczystych ramion, które właśnie wyłoniły się z wody. Nieznajomy spojrział na Lori poprzez szybkę maski, zamrugał kilkakrotnie oczyma i ponownie zniknął pod wodą. Gdy znów się wynurzył, delikatna fala zniosła go prosto na kamień, na którym siedziała Lori. Mężczyzna złapał równowagę i zdjął maskę. Przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie.

- Pani dyrektor Tate - odezwał się w końcu mężczyzna, nie kryjąc uśmiechu. - I to w całej okazałości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Serce Lori waliło jak oszalałe.

- Och, Callahan. Co pan tu robi?! - wykrzyknęła. Natychmiast złożyła ręce na nagich piersiach, ale jego spojrzenie mówiło samo za siebie. Za późno.

- Lorelei - powiedział niespodziewanie miękkim głosem.

Lori nigdy nie lubiła pełnego brzmienia swego imienia. Zawsze żałowała, że nie nazwano jej bardziej rozsądnie, na przykład Laura, jednak sposób, w jaki Callahan wymówił jej imię, nieoczekiwanie sprawił jej przyjemność. Wydawało się, iż delektował się jego brzmieniem, tak jak koneser delektuje się smakiem dobrego, starego wina.

Stanowczo siedziałam za długo na słońcu, zaczyna mi się kręcić w głowie, pomyślała. Ciekawe, czy udałoby mi się wejść do wody tak, by nie pokazać temu intruzowi zbyt wiele? Chyba raczej nie. Jeśli nie chcę pokaleczyć się chropowatą skałą, muszę podeprzeć się rękoma, a wtedy on będzie miał okazję obejrzeć mnie dokładnie... Co robić?

- To prawdziwy dylemat - przyznał Callahan, jakby czytał w jej myślach.

- Mógłby się pan przynajmniej odwrócić - odparła szorstko.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Niby czemu?

- Brak mi siły woli - wyjaśnił. - Tak już jest z syrenami, że odbierają mężczyznom siłę woli. Wabią ich śpiewem na skały, a potem... Wie pani, co Lorelei robiła ze swymi ofiarami, prawda?

Lori skrzywiła się.

- Zdaje się, że rozszarpywała je na kawałki.

- Podobnie jak klan Tate'ów. - Uśmiechnął się ironicznie. -A pani nie dość, że ma na imię Lorelei, to jeszcze na nazwisko Tate. Taka kombinacja może napęlić przestachem każdego mężczyznę.

- Co pan, w takim razie, jeszcze tu robi? - prychnęła.

- Poczulem nagły przypływ odwagi.

Lori ześliznęła się końcu do wody, cały czas świadoma jego taksującego spojrzenia.

- Zdawało mi się, że zobaczył pan już wszystko, co pana interesowało - przypomniała mu.

- Mnie się też tak wydawało - przyznał, nie spuszczać z niej iskrzącego wzroku. - O ile pamiętam, syreny najpierw zabawiały się ze swymi ofiarami... - dodał z szelmowskim uśmiechem. - Ciekawe, jaką śpiewały im pieśń?

- Pozostawiam tę kwestię pana jałowym rozważaniom - odparowała i ruszyła w kierunku brzegu.

Chwilę później stała na plaży, bezpiecznie okręcona ręcznikiem i przyglądała się Callahanowi, który zbliżał się powoli w jej stronę. Kombinezon płetwonurka to bardzo niewdzięczny strój, ponieważ odkrywa wszelkie niedoskonałości ludzkiego ciała. Tymczasem sylwetce Callahana nie można było nic zarzucić. Czyżby natura mogła być aż tak łaskawa dla tego pewnego siebie, aroganckiego człowieka? Aha, a jednak, ucieszyła się Lori w duchu. Ma trochę zbyt szerokie ramiona, przez co jego sylwetka nieco traci na harmonii.

Tymczasem on zdjął z pleców butlę tlenową, po czym usiadł, by uwolnić swe stopy od gumowych płetw. Nie spuszczać wzroku z Lori, przeciągnął dłonią po mokrych włosach. Wujowie oraz jej kuzyni, którzy mieli raczej konserwatywne poglądy, uważali, że jedynie krótkie włosy są dopuszczalne u mężczyzn. Ciekawe, co mieliby do powiedzenia na temat fryzury Callahana? Z pewnością nie byłoby to nic pochlebnego, pomyślała Lori z rozbawieniem.

Instynkt podpowiadał jej, iż powinna się jak najszybciej pożegnać i odejść, ale istniało niebezpieczeństwo, że Callahan poszedłby za nią, a nie miała ochoty pokazywać mu swego obozowiska. Także wczasowicze, którzy przychodzili tu z sąsiedniej wyspy, przekonani byli, że mieszka ona w jednym z tamtejszych ośrodków, ona sama nie widziała zaś potrzeby, aby wyprowadzać ich z błędu. Jedno spojrzenie w ciemnoniebieskie oczy Callahana potwierdziło jej przypuszczenia. Nie zamierzał jej tak szybko opuścić. Coś jeszcze kryło się w jego wzroku. Był to podziw i autentyczne zainteresowanie, które nieoczekiwanie sprawiło Lori ogromną przyjemność.

- Przyjechałem dopiero dzisiaj i nie widziałem pani na obiedzie.

A więc założył z góry, że ona mieszka w ośrodku na drugiej wyspie. Bardzo dobrze.

- Nie chodzę do tej restauracji - odparła, wzruszając ramionami.

- Jest pani na. diecie? - zakpił. - A może do tej pory nie zaprzyjaźniła się pani z nikim? Wciąż spędza pani urlop sama? Cóż za zbieg okoliczności, ja też.

Callahan mieszka w ośrodku po drugiej stronie rafy koralowej?! Nie do wiary. Nieoczekiwanie wiadomość ta sprawiła, że serce Lori zabiło mocniej.

- Mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności, iż znalazł się pan tutaj akurat teraz? - Posłała mu pełne niedowierzania spojrzenie.

- Myśli pani, że ją śledzę? - Roześmiał się z arogancją człowieka, który nie musi uciekać się do podobnych sztuczek. Zresztą, miał chyba do tego prawo, zważywszy, że tak piękne kobiety jak Justine wprost rzucały mu się w ramiona.

- Czy może pan sobie pozwolić na wakacje, gdy pańskie interesy idą tak kiepsko? - Lori postanowiła zmienić temat.

- Zostałem poproszony o wygłoszenie kilku wykładów, tu w ośrodku, więc postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym. Moglibyśmy wybrać się dokądś razem, na zasadzie, że lepszy wróbel w garści... - Uśmiechnął się wesoło.

Lori ponownie poczuła szybsze bicie serca. Ciekawe, przecież tego dnia nie wypila ani odrobiny kawy...

- Mówiłam już panu, że lubię być sama - odparła sucho.

- Też lubię samotność - przyznał - ale to duża przeszkoda, gdy chce się zagrać w tenisa.

- Ale ja wcale nie chcę grać w tenisa - zaprotestowała.

- Nie chcę, czy raczej nie umiem?

- Proszę - jęknęła - niech mi pan tylko nie proponuje prywatnych lekcji.

- Widzę, że nici z planu A - mruknął z udawanym smutkiem.

- Czy nie jest panu za gorąco w tym kombinezonie? - Lori zmieniła temat.

- Nie zapyta pani, jaki jest plan B?

Lori wzruszyła ramionami i związawszy sznurówki tenisówek, przewiesiła je sobie przez ramię.

- Zamierzam jeszcze pospacerować przed powrotem do ośrodka - oznajmiła.

- Tylko nie za długo, bo po przyptywie można się dostać na drugą wyspę tylko łodzią.

Najwyraźniej dla niego kobieta opalająca się w stroju topless ma całkiem pusto w głowie, oburzyła się w duchu Lori.

- Och, nigdy bym sama na to nie wpadła - zaszcebiotała, trzepocząc rzęsami. - Do widzenia.

Już myślała, że dotarło do niego, iż nie życzy sobie jego towarzystwa, ale okazał się być odporny na wszelkie delikatne sugestie. Widać było, że zamierza iść za nią. Nie tylko ją to zirytowało, ale i zaniepokoiło. Bądź co bądź, znajdują się na odludziu, a w dodatku wcale się tak naprawdę nie znają.

Lori odwróciła głowę, udając, że przygląda się z zainteresowaniem rosnącym na skraju plaży kazuarynom oraz dziwacznym spiczastym roślinom, przypominającym nieco kaktusy.

- Miały dać początek masowej produkcji lin - odezwał się niespodziewanie Callahan.

Widząc zdziwione spojrzenie Lori, wskazał ręką kępę owych spiczastych roślin.

- To odmiana agawy, zdaje się, że meksykańska - wyjaśnił. - Z jej liści wydobywa się włókno, zwane sizalem. Pod koniec dziewiętnastego wieku władzę poleciły obsadzić nimi całą wyspę, licząc na to, że dzięki temu rozwinie się produkcja sznurów.

- Sznury, akurat - mruknęła Lori, patrząc z niedowierzaniem na grube, mięsiste liście.

- Zaraz się pani przekona, że mam rację. - Uśmiechnął się, po czym wyjął duży nóż, którego ostrze złowieszczo zaśniło w słońcu.

Lori poczuła, jak zaschło jej w gardle ze strachu. Cudownie. Pusta plaża i nieznajomy mężczyzna z nożem. Bezwiednie zasłoniła dłonią szyję.

- Na litość boską, wygląda pani, jakby chciała uciec, gdzie pieprz rośnie - zauważył z irytacją w głosie.

- Każda kobieta, która widzi uzbrojonego w nóż mężczyznę, myśli o ucieczce - odparowała. - Powinien mnie pan raczej pochwalić. To przecież instynkt przetrwania.

- Spokojnie, nie mam żadnych planów zagrażających pani pięknej szyi. A przynajmniej takich, które wymagałyby użycia noża - uściślił z szelmowskim uśmiechem.

Dłoń Lori jeszcze mocniej zacisnęła się na szyi. Callahan dostrzegł ten obronny gest, ale go, na szczęście, nie skomentował.

- Proszę bardzo. - Pokazał jej obcięty liść agawy. Rzeczywiście tkwiło w nim kilka chropowatych włókien. - To jest właśnie włókno sizalowe. Najpierw się je suszy i czyści, a potem wyrabia się z niego liny oraz cienkie sznurki.

- Tak się cieszę, że pan mi to powiedział. Bez tych wiadomości moje wakacje byłyby niepełne - zakpiła.

Callahan roześmiał się i schował nóż. Ruszyli w kierunku kępy palm kokosowych, które rosły tuż nad niewielką zatoczką. Kiedy tak szli obok siebie, ich cienie co chwila zlewały się, tworząc jedną szarawą plamę na złocistym piasku. Nie wiedzieć czemu ten fakt niesłychanie zirytował Lori, która wciąż rozmyślała o tym, jak pozbyć się niechcianego towarzystwa.

- To było kolejne zarządzenie miejscowych władz - Callahan odezwał się ni z tego, ni z owego.

A to była kolejna sztuczka, by zwrócić jej uwagę. Lori rozejrzała się dokoła, ale nie domyśliła się, o co tym razem chodziło.

- Co takiego? - spytała, przyznając w duchu, że jego metoda odniosła pożądany skutek.

- Palmy kokosowe.

- Ale przecież rosną na wszystkich okolicznych wyspach.

- To prawda, jednak nie jest to typowy dla nich obszar występowania. Przywieziono je z Indonezji i obsadzono wszystkie wyspy, aby rozbitkowie mieli się czym wyżywić.

- Rozbitkowie? - powtórzyła, pewna, że tym razem jednak ją nabiera.

- W przeszłości wiele statków rozbiło się tu o skały podwodne - wyjaśnił.

- Akurat - mruknęła Lori z niedowierzaniem.

- Słowo skauta. - Callahan uderzył się pięścią w klatkę piersiową. - Na Brampton Island założono plantację palm, która dostarczyła sadzonek dla wszystkich okolicznych wysp. - Podniósł leżący na ziemi orzech kokosowy. - Niektóre z tych wielkich palm w pobliżu ośrodka mają już ze sto lat.

- Skąd pan to wszystko wie? - spytała zaciekawiona.

- To moja praca - wyjaśnił, wyjmując ponownie nóż. Tym razem Lori nawet nie drgnęła. - Czyżbym zdobył pani zaufanie?

Po jego minie widać było, że nie oczekuje odpowiedzi, ponieważ ją zna. Cóż to za pewny siebie facet, pomyślała z niechęcią. Musiała jednak

przyznać, że spośród wielu znanych jej pewnych siebie mężczyzn, a spotkała ich wielu, ten był wyjątkowy. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale w jego towarzystwie czuła się, jakby po latach oglądania lśniących reprodukcji patrzyła na oryginalny obraz.

Tymczasem Callahan sprawnie rozłupał orzech, używając w tym celu swego ogromnego noża.

- A czy władze zostawiły gdzieś noże dla rozbitek? - zadrwiła.

- Potrzeba jest matką wynalazków, a rozbitekowie bywali zwykle głodni - odparł spokojnie.

- A jest mleko? - zapytała Lori, zaglądając mu przez ramię z zaciekawieniem. - Zawsze byłam ciekawa, jak smakuje takie świeże mleko kokosowe.

Wyciął kawałek czegoś białego i podał jej na nożu.

- To był akurat dojrzały orzech, ma dużo bielma, ale ani kropli mleka - wyjaśnił. - Jeśli chce się mieć mleko, trzeba wybrać bardziej zielony owoc.

Lori wzięła do ust podany jej kawałek i zaczęła go żuć. Był nieco twardy i suchy, ale całkiem smaczny.

- Pamiętam, jak kiedyś, w dzieciństwie, próbowaliśmy otworzyć orzech. Nie cały owoc, ale tę włochatą skorupę. Zajęło to nam, to znaczy mojemu bratu, dwóm kuzynom i mnie, ze dwie godziny. W końcu musieliśmy uderzyć młotkiem.

- Wygląda na to, że byliście zgraną paczką - zauważył.

- Nie, paczkę tworzyli Carson, Ritchie i Mark. Ja się po prostu zawsze przy nich kręciłam. Już zapomniałam, jak to było, zanim... - Nie dokończyła.

- Zanim co?

- Zanim moja mama zmarła, a ja wyjechałam.

Ogarnęła ją fala tęsknoty za dzieciństwem, za tym, co odeszło bezpowrotnie. Na szczęście Callahan okazał się na tyle delikatny, że nie pytał jej o nic więcej.

- Rozbitkowie nazywali palmę kokosową drzewem życia - odezwał się po dłuższej chwili. - Każda jej "część jest użyteczna. Z tej białej warstwy, czyli z bielma, wytwarza się olej. Można też ją wysuszyć i wtedy uzyskuje się koprę. Kiedy się ją podpali, znakomicie odstrasza komary. Ze skorupy robi się misy i pojemniki, a liście można tak spleść, że powstanie z tego szczelny dach. Drewno świetnie nadaje się do budowy chaty lub łodzi. Tak

więc, gdybyśmy byli rozbitkami, mielibyśmy wszystko, czego dusza zapagnie - dokończył z wieloznacznym uśmiechem.

Rozbitkami... My... Wszystko, czego dusza zapagnie... Mimo że od trzech dni nie miała w ustach kawy, Lori poczuła, że jej serce wali jak oszalałe. Jak nie kofeina, to adrenalina. Chyba że to jeszcze coś innego...

- Mam na imię Haze. Czy wybrałabyś się ze mną dziś na kolację? - zaproponował ni z tego, ni z owego.

Zgrabnie to sobie wymyślił, zirytowała się. Najpierw dyskretnie milczał, gdy ona walczyła ze wspomnieniami, potem zarzucił ją mnóstwem szczegółowych informacji na temat palm i kokosów, by w końcu ponownie okazać swe zainteresowanie. Jestem dobrze wychowany i cierpliwy, zdawał się mówić. Możesz się czuć przy mnie bezpieczna. Tylko co dla niego znaczyło słowo bezpieczna? Fairlie życzyła jej, by spotkała fantastycznego faceta i świetnie się z nim bawiła. Lori nie miała najmniejszych wątpliwości, że żona kuzyna nazwałaby Callahana fantastycznym.

- Haze? To brzmi jak pseudonim artystyczny. Czyżbyś grał kiedyś w zespole rockowym?

- Nie, zupełnie brak mi słuchu muzycznego.

- Ale ja nie pytam, czy masz słuch, tylko czy grałeś w zespole. Zdaje się, że jedno drugiemu nie przeszkadza.

- Nie. Nigdy nie interesowałem się muzyką. Bardziej pociągały mnie konie, motocykle i deski surfingowe. A co do mojego imienia, to nazwali mnie tak rodzice, od panieńskiego nazwiska matki, Hayes - wyjaśnił.

Zapanowało milczenie. Lori zdawała sobie sprawę, iż powinna jakoś odnieść się do jego propozycji, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Nie mam się w co ubrać, zabrałam tylko kilka par szortów i bawełniane bluzeczki - usłyszała swój własny głos.

- Och, nie ma problemu, przyjdź tak, jak byłaś wcześniej - odparł, posyłając jej znaczący uśmiech. Było jasne, że chodzi mu o ten nader skąpy strój, w którym siedziała na skale. Jednak było to już drugie ich spotkanie, więc również mogłaby pojawić się w owym eleganckim kostiumie, leżącym teraz na samym dnie jej przepastnej torby. Ciekawe, jak by na to zareagował?

- Mam przyjść po ciebie do pokoju, czy wolisz, żebyśmy się gdzieś spotkali? - spytał.

- Och, lepiej się spotkajmy - odparła szybko, chcąc uniknąć pytania o numer pokoju, którego przecież nie posiadała. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ona, specjalistka w dziedzinie negocjacji została przechytrzona. Zamiast odmówić, wybrała jedną z dwóch zupełnie jej nie odpowiadających możliwości.

- Muszę wracać do ośrodka - oznajmił Callahan, gdy doszli do miejsca, w którym kończyła się plaża. Będąc już po kolana w wodzie, zatrzymał się i odwrócił. - Jak mam do ciebie mówić? Skrzywiłaś się, gdy nazwałem cię Lorelei.

Nieprawda, nie skrzywiła się. Wręcz przeciwnie, aż zadrżała, kiedy wymówił jej imię. Nie widziała jednak powodu, dla którego miałaby mu się z tego zwierzać. Nie miała najmniejszego zamiaru schlebiać jego męskiej próżności.

- Możesz mnie nazywać Lori. A jeszcze lepiej Laura - zdecydowała.

- A więc do zobaczenia wieczorem, Lauro. - Haze uniósł rękę w geście pożegnania i ruszył w kierunku sąsiedniej wyspy.

Gdy po dłuższej chwili Lori ocknęła się z zamyślenia, wciąż stała na brzegu i patrzyła w stronę, w którą odszedł Callahan. Odwróciwszy się na pięcie, czym prędzej odeszła, by nie pomyślał sobie nie wiadomo czego na jej temat. A jednak czuła się wyjątkowo. Od lat nie było jej tak lekko na sercu ani też nie miała aż tak wielkiej ochoty, by się roześmiać.

ROZDZIAŁ TRZECI

To chyba ta zmiana imienia tak mi uderzyła do głowy, myślała później Lori. A jeszcze do niedawna sądziła, iż Laura brzmi tak rozsądnie i dystyngowanie, podczas gdy Lorelei - zbyt romantycznie ... I nagle - co się okazało? Przecież Lorelei Tate dawno już doszła do wniosku, że nawet najbardziej cywilizowani mężczyźni są na dłuższą metę nie do wytrzymania. A co robi Laura z bezludnej wyspy? Wybiera się na spotkanie z mężczyzną, który stale nosi przy sobie nóż i posługuje się nim z taką łatwością jak ona piórem. Lorelei zawsze zamawiała ubrania o klasycznej linii, w stonowanych barwach, wykonane ze szlachetnych tkanin. Laura natomiast zakupiła w hotelowym butiku jaskrawozieloną suknię bez ramiączek, której suta spódniczka kołysała się uwodzicielsko przy każdym jej ruchu. Lorelei Tate gustowała w eleganckich, można by rzec, ascetycznych uczesaniach, tymczasem hotelowy fryzjer ułożył włosy Laury w miękkie, romantyczne fale. Lorelei nade wszystko ceniła sobie porządek i dobrą organizację, natomiast Laura w słabo oświetlonej toalecie ośrodka pośpiesznie przebierała się w swą zieloną suknię i robiła makijaż.

Gdy już była gotowa, wrzuciła szorty, bluzeczkę i sandały do torby. Musiała się zastanowić, gdzie ukryć ten pakunek, gdyż nie mogła zabrać ze sobą płócienną torbę plażową do eleganckiej restauracji, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Za parę godzin, gdy nastąpi odpływ, będzie musiała ponownie się przebrać i przedostać się po kamieniach na swą pogrążoną w ciemnościach wyspę.

Nie, pewnie nie będę musiała, poprawiła się w myślach, przypominając sobie pełne zainteresowania spojrzenie Hazel a. Bez wątplenia zechce spędzić z nią tę noc. Wyobrażenia podsunęła jej obraz miękkiego, szerokiego łóżka, a w nim ich dwojga w miłosnym uścisku. Lori zadrżała na całym ciele. Minęło już tyle czasu odkąd...

Przywołała swe myśli do porządku. Oczywiście, że nie może spędzić z nim tej nocy. Przecież łączą ich sprawy służbowe, nie wolno jej o tym zapomnieć. To by dopiero było, gdyby wujowie i kuzyni dowiedzieli się, że przeprowadzili transakcję z mężczyzną, który poszedł do łóżka z jedynym w firmie dyrektorem-kobietą. Byłby to poważny cios dla jej kariery.

Zresztą nie ma się co martwić, pocieszyła się w duchu. Haze Callahan mógłby się okazać fatalnym kochankiem, który zupełnie nie wie, jak się

zachować w intymnej sytuacji. Może po kilku kieliszkach wina doktor Jekyll przemieni się w pana Hyde'a i ten jego zniewalający urok pryśnie? Nawet wspólna kolacja równie dobrze może się okazać kompletnym niewypałem, gdy co jakiś czas będą popadać w niezręczne milczenie i rozpaczliwie poszukiwać jakichkolwiek tematów do rozmowy.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, najlepiej by było, gdyby już teraz wróciła do namiotu i dokończyła plecionkę z liści palmy, zaczęta jeszcze po południu. Nocna przeprawa na sąsiednią wyspę jest stanowczo bezpieczniejszym wyjściem z sytuacji. Do takiego wniosku doszła Lorelei Tate. Niestety - Laura w ogóle jej nie słuchała.

Haze już na nią czekał. Tym razem ubrany był w beżowy lniany garnitur oraz ciemnozieloną bawełnianą koszulkę. Było w jego wyglądzie coś takiego, co przyciągało spojrzenia wszystkich znajdujących się w sali kobiet. Wprawdzie Lori stwierdziła w duchu, że jego marynarka jest jednak trochę zbyt pognieciona, nawet jak na len, a koszulka za bardzo opina szeroką klatkę piersiową, mimo to musiała przyznać, iż prezentował się naprawdę dobrze. Cóż się dziwić, w końcu był mężczyzną, który wyglądał niemal idealnie w kombinezonie płetwonurka.

Gdy podeszła, obdarzył ją zdumionym spojrzeniem. Najwyraźniej nie spodziewał się ujrzeć jej w takim stroju. Lori poczuła się dziwnie rozczarowana, że nie skomplementował jej wyglądu.

W oczekiwaniu na zamówione dania popijali powoli szampana. Wbrew przewidywaniom Lori, Callahan nie przemienił się w pana Hyde'a. Wręcz przeciwnie, był niesłychanie miły.

- De lat mieszkasz w swym domu w tropikach? - spytała.

- Sześć, z przerwami. Często wyjeżdżam na dłużej, z grupami bądź sam, a wtedy domem opiekuje się moja matka na zmianę z siostrą.

- A dokąd jeździsz?

- Praktycznie wszędzie - odparł z uśmiechem. - W Himalaje, na Saharę, do afrykańskiego buszu. Niedawno prowadziłem badania nad możliwościami przeżycia w czasie trzęsienia ziemi, więc pojechałem do Turcji, a później do USA, na Zachodnie Wybrzeże. Wkrótce wybieram się do Walii i Szkocji, będę zbierał materiały do następnego rozdziału mojej książki o przetrwaniu w górach.

- Widziałam twoje książki u ciebie w biurze. Chyba zarabiasz na nich tyle, że powinno cię być stać na zatrzymanie tego domu, prawda?

- Szczerze mówiąc, trudno byłoby z tego wyżyć.

- W takim razie, po co poświęcać tyle czasu na przygotowywanie czegoś, co nie jest warte zachodu? - zdziwiła się Lori.

- Wcale nie powiedziałem, że takie książki nie są warte zachodu. Po prostu nie przynoszą wielkich zysków - wyjaśnił spokojnie.

Lori zdawało się, że widzi w jego spojrzeniu politowanie. Pewnie sądził, że jak przystało na osobę z rodziny Tate'ów, patrzy na wszystko pod kątem ewentualnych finansowych zysków.

- A może błędem, który popełniłeś, było zaangażowanie się w zbyt wiele przedsięwzięć naraz? - stwierdziła sucho.

- A może błędem, który ty stale popełniasz, jest brak rzeczy wartych zachodu? - odparował.

Jego uwaga dotknęła czułego miejsca w duszy Lori, jednak za nic w świecie nie przyznałaby się do tego.

W tym momencie podano kolację, ale nie przeszkodziło to im w kontynuowaniu rozmowy. Lori raz po raz wracała do tematu uroczego domu, wybudowanego własnymi rękoma przez Haze'a.

- Wydajesz się być dziwnie przejęta tym, że stracę swój dom - zauważył w końcu.

- Jak na kogoś z rodziny Tate'ów, tak?

- Jak na kogoś, kto zna mnie zaledwie od kilku dni - wyjaśnił, widząc jej wojownicze spojrzenie.

Od kilku dni? - pomyślała ze zdumieniem. Zdawało jej się, że zna go całe wieki.

- Wiem, jak się musisz czuć, gdyż akurat sama jestem w podobnej sytuacji - odparła pozornie spokojnym głosem, ale tak naprawdę chciało jej się płakać. - Niedługo utracę pewną posiadłość, która wiele dla mnie znaczy - dodała, walcząc ze słabością, której za nic nie chciała okazać.

- Tak, rzeczywiście ciężko jest pogodzić się z utratą atrakcyjnej nieruchomości. - Haze uśmiechnął się drwiąco.

Lori już otwierała usta, by wytłumaczyć mu, iż nazwała maleńki domek Woody posiadłością, aby nie rozkleić się w jego obecności, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się. I tak by jej nie uwierzył. Dawno już przylgnęła do niej opinia kobiety chłodnej i wyrachowanej. Nawet jej to odpowiadało, gdyż dzięki temu przynajmniej liczone się z nią. Dla kobiet, które nie umieją zapanować nad swymi emocjami, nie ma szacunku w świecie biznesu.

Dźwięki muzyki, a także szum prowadzonych wokoło rozmów sprawiły, że Lori szybko się rozluźniła. Haze zapytał o jej dzieciństwo, więc ochoczo ją opowiadać mu historie, do których dawno już nie wracała. Gdy tak mówiła mu o wujach, nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, iż w gruncie rzeczy przepada za tymi, jak to sama określiła, starymi tyranami.

- Wuj Errol to prawdziwa dusza firmy. Wuj Clark z kolei uważa się za playboya, a jego żona, ciocia Cheryl, rekompensuje sobie każdą jego przygodę nową, coraz to bardziej młodzieżową fryzurą. Biedaczka, jest już na skraju obłędu, a on jeszcze śmie mówić, że to ja jestem niebezpieczna...

- Urwała nagle, gdyż zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo.

- Niebezpieczna? - powtórzył Haze, a jego oczy rozbliły się zainteresowaniem.

- Dla mężczyzn - wyjaśniła, usiłując zachować pogodny ton. - Kilka lat temu mężczyzna, z którym byłam związana, zginął w wypadku samochodowym...

Callahan milczał. Lori zdążyła już zauważyć, że często robił takie pauzy. Nie była do tego przyzwyczajona, gdyż jej znajomi nigdy nie zachowywali się w ten sposób. Przecież w trakcie tych cennych sekund ktoś mógłby się wtrącić i przyćmić ich swoją wypowiedzią. W rezultacie rzadko kto naprawdę słuchał tego, co się doń mówiło.

- To prawdziwy pech - mruknął w końcu, czekając na dalszy ciąg jej opowieści.

- Dwa lata później poszłam na służbowy lunch z klientem ciągnęła, bawiąc się nerwowo kieliszkiem. - To fakt, miał około pięćdziesiątki, sporą nadwagę, a w dodatku był mocno znerwicowany, ale... Cóż, w trakcie lunchu miał zawał serca... - Zerknęła na Haze'a, ten kiwnął głową ze zrozumieniem. - Właśnie wtedy otrzymałam te okropne przezwiska. Kłątwa. Urok. Zauważyłeś, że jest całe mnóstwo nieprzyjemnych wyrazów z literą k? - ciągnęła, świadoma, że nie powinna mu tego wszystkiego mówić. - Wuj Errol nazwał mnie Syreną. Niby dlatego, że jestem niebezpieczna dla mężczyzn. Głupi żart. Z drugiej strony, mój ojciec zginął w wypadku samochodowym osiemnaście miesięcy po owym tragicznym lunchu, więc może jednak coś w tym jest?

- Uśmiechnęła się smutno. - Jak widzisz, kuszysz los, jedząc ze mną kolację. Jesteś pewien, że nie chcesz zrezygnować z deseru?

- Kłopoty to moja specjalność - odpowiedział z uśmiechem.

- Poza tym nigdy, ale to przenigdy nie rezygnuję z deseru.

Rzeczywiście, nie zrezygnował. Najpierw pochłonął potężną porcję sorbetu brzoskwiowego, a potem pucharek bitej śmietany z owocami.

- Przepadam za słodyczami - wyznał, widząc zdumione spojrzenie Lori.

Podnosił właśnie do ust łyżeczkę pełną bitej śmietany, gdy nagle znieruchomiał.

- Piękna - powiedział niespodziewanie. - Seksowna.

- Co takiego? - Lori zupełnie nie rozumiała, o czym on mówi.

- To są przyjemne wyrazy z literą k - wyjaśnił. - Nawet bardzo przyjemne - dodał, zerkając na jej śmiały dekolt.

Lori zarumieniała się lekko, zbита z tropu" jego uwagą. Wyraźnie bawił go fakt, że nie umiała szybko znaleźć celnej riposty.

- Mmm, doskonała, wyjątkowa - ciągnął, wyskrobując z pucharka resztki bitej śmietany. - Niezwykła...

- Efekciarski - odparowała. - Żeby już nie powiedzieć... stuknięty.

Mimo to jednak, jak na kogoś, kto pragnął spędzić wakacje w całkowitej samotności, Lori bawiła się wyjątkowo dobrze. Jeśli nawet zdarzały się chwile milczenia, ani przez moment nie czuła się niezręcznie. Tematów do rozmowy również nie brakowało. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak miło sobie z kimś gawędziła. Haze był dowcipny, inteligentny i na swój sposób ujmujący. Jego towarzystwo sprawiło, że po raz pierwszy od wielu miesięcy śmiała się szczerze i radośnie. Gdyby tylko jeszcze miał krótkie włosy...

A zresztą, krótkie, długie, żadna różnica, pomyślała nagle. Ogarnęło ją przemożne pragnienie wyznania mu, że tak naprawdę mieszka na sąsiedniej wyspie, a potem, kto wie, może zaprosi go do swego obozowiska?

- Jak cudownie byłoby móc spać pod gołym niebem, wpatrywać się w gwiazdy... - westchnęła, pochylając się ku niemu. Tak, byłaby gotowa wpuścić go do swej samotni. - Tam, na tej dzikiej wysepce...

Tymczasem w nim odezwał się znawca sztuki przetrwania.

- Zdaje się, że tropiki uderzyły ci do głowy. - Uśmiechnął się z pobłażaniem. - Nie zmrużyłabyś oczu, Lauro, kochanie. Wbrew pozorom ziemia jest bardzo twarda, a w dodatku zewsząd słychać dziwne dźwięki. Może w tej chwili wydaje ci się to romantyczne, ale nawet nie wyobrażasz sobie, jaka ciemność panuje tam, gdzie nie dochodzą światła ośrodka.

- A więc sądzisz, że nie starczyłoby mi odwagi, by zamieszkać gdzieś na odludziu? .

Przez moment jego spojrzenie ślizgało się po jej nagich ramionach i frywolnej sukience, aż wreszcie spoczęło na pomalowanych na złocisty kolor paznokciach.

- Nie należysz do osób, które dałyby sobie radę w takich warunkach - oznajmił z nieznośną pewnością siebie.

Lori uśmiechnęła się, zadowolona z jego pomyłki. Pozostawała dla niego tajemnicą, podczas gdy jemu zdawało się, że czyta w niej jak w otwartej książce.

- Może masz rację - przyznała, spuszczać oczy, co od razu powinno zasygnalizować mu, że coś jest nie tak.

Jednak Haze, podobnie jak wielu mężczyzn, lubił, kiedy kobiety przyznawały mu rację. Teraz siedział z pełnym wyższości uśmiechem. Cóż za arogancki typ, pomyślała Lori. Z drugiej jednak strony świadomość, iż wie coś, o czym Haze nie ma pojęcia, dodała jej pewności siebie, dzięki czemu mogła się już całkiem rozluźnić.

Dlatego też, gdy znaleźli się wreszcie na parkiecie, odrzuciła wszelkie zahamowania i pozwoliła się ponieść tanecznemu rytmowi. Jej rozpuszczone włosy poruszały się przy każdym ruchu i Lori ze zdumieniem stwierdziła, iż bardzo jej się to podoba. Czuła się świetnie, po raz pierwszy od wielu lat nie skrepowana ani oficjalnym strojem, ani też rygorystycznymi nakazami. Aż do chwili, gdy zagrano liryczną piosenkę...

Haze ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Zadrżała, gdyż po raz pierwszy znalazła się w jego ramionach. Bliskość jego silnego, smukłego ciała sprawiła, że zakręciło się jej w głowie. Tymczasem jego palce pieczołtliwie wędrowały po jej nagich plecach, przygotowując Lori o drżenie. Uniosła głowę. W jego oczach ujrziała zachwyt i namiętność. Widać było jednak, że nie miał zamiaru zrobić nic wbrew jej woli, gdyż jego uścisk był na tyle luźny, iż mogła w każdej chwili się z niego wyswobodzić. Wszystko to sprawiło, że po raz pierwszy od wielu lat Lori poczuła się jak zakochana dziewczyna...

Gdy przysunęła się do niego bliżej, Haze zatrzymał się i spojrzał jej głęboko w oczy, jak gdyby chciał w nich wyczytać, co miał znaczyć jej gest. Po dłuższej chwili pochylił się i musnął ustami szyję Lori.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Lauro, kochanie - wyszeptał zdławionym głosem.

Lori nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Haze Callahan był niesłychanie atrakcyjnym mężczyzną, który ściągał na siebie

spojrzenia wszystkich kobiet. Mógłby mieć każdą, a jednak wybrał właśnie ją. „Lauro, kochanie”. W jego ustach brzmiało to tak ciepło, tak naturalnie... Od tej pory zawsze będzie chciała być nazywana Laurą.

- Och, Haze - szepnęła z rozmarzeniem.

- Chodźmy do mnie - zaproponował, a jego oczy zaślnęły zmysłowo.

Nie czekając na odpowiedź, objął ją mocno w talii i niemal wyprowadził z parkietu. Jego niecierpliwość sprawiła, iż Lori przyszło do głowy, że być może zachowuje się nieco nierozważnie.

- Przepraszam cię na chwilę - wydusiła i ruszyła w kierunku toalety.

Przeszedłszy kilka metrów, odwróciła się, by spojrzeć na Haze'a. Siedział przy stoliku i właśnie podnosił do ust kieliszek szampana. Zupełnie, jakby coś świętował...

Stojąc przed ogromnym lustrem, wiszącym w toalecie, Lori wciąż miała przed oczyma pełen triumfu wyraz twarzy Haze'a. Czowała się zaniepokojona, ale złożyła to na karb niezwykłego, jak dla niej, tempa, w jakim rozwijała się ich znajomość. Czy ta zarumieniona, ekstrawagancko ubrana dziewczyna w lustrze to naprawdę ja? - pomyślała ze zdumieniem. Rozpalona, podekscytowana dziewczyna, którą w ostatniej chwili opadły wątpliwości... Ale ja przecież nie jestem już dziewczyną, lecz dorosłą, odpowiedzialną kobietą. Kobieta, która może tak naprawdę ani przez moment nie miała zamiaru powracać tego wieczoru na swą bezludną wyspę...

A jednak coś było nie tak. To wszystko dzieje się za prędko, pomyślała. Nie jestem do tego przyzwyczajona. A może boisz się zaangażować w związek z mężczyzną, bo przez tyle lat zabraniałaś sobie nawet myśleć o miłości, podpowiadał jakiś wewnętrzny głos. Spotkałaś nietuzinkowego mężczyznę, inteligentnego, odważnego, a w dodatku jeszcze zabójczo przystojnego i chcesz przejść obok niego obojętnie? Chyba masz nie po kolei w głowie.

Zdecydowawszy, że z jej głową wszystko jest w porządku, Lori wyszła z toalety, ale Haze'a już nie było przy stoliku. Rozejrzała się dookoła i dostrzegła go przy barze. Rozmawiał przez telefon, co bardzo ją zdenerwowało. Podczas gdy ona biła się z myślami, które dotyczyły tak ważnej kwestii, jak spędzenie z nim nocy, on spokojnie gawędził sobie przez telefon. Podświadomie spodziewała się ujrzeć go, jak przechadza się nerwowo w tę i z powrotem w oczekiwaniu na jej powrót. Skoro w takiej chwili potrafił zajmować się tak prozaiczną czynnością, to być może aż tak

bardzo za nią nie szalał. Ona natomiast potrzebowała wyjątkowego zachowania, jeśli miała złamać zasady, jakimi kierowała-się od wielu lat.

Podeszła do stolika, nie bardzo wiedząc, co powinna ze sobą zrobić. Spojrzała na pusty kieliszek po szampanie i zauważyła leżącą obok kartkę papieru. Widniało na niej nazwisko Haze'a, a pod nim krótka wiadomość: „Proszę niezwłocznie zadzwonić do Justine”.

Znów ta Justine. Lori aż nazbyt dobrze pamiętała ową czułą scenę między nią i Callahanem. Teraz Haze pochylał się ze skupieniem nad telefonem, jak gdyby chciał w ten sposób stworzyć mały, intymny świat, w którym mógł rozmawiać z Justine. Podobnie wyglądał owego dnia na drodze do swej posiadłości.

Gdyby to nie dotyczyło bezpośrednio jej, Lori uznałaby całą tę sytuację za niesłychanie zabawną, ale w tym momencie daleka była od śmiechu. Nie miała najmniejszej ochoty dostać kosza od takiego mężczyzny jak Haze Callahan. Nie bawiła jej również perspektywa spędzenia nocy z kimś, dla kogo miałaby być jedynie wakacyjną przygodą.

Jej ponure rozmyślania przerwał kelner, który przyszedł, by sprzątnąć nakrycia ze stołu.

- Czy chciałaby pani zamówić coś jeszcze? - spytał uprzejmym tonem.

- Nie, dziękuję bardzo - odparła Lori i szybko ruszyła do wyjścia.

Zielona sukienka kołysała się i szeleściła falbanami, jakby na urągawisko swej właścicielce. Patrzcie wszyscy, zdawała się wołać, pewien przystojniak wystrychnął ją na dudka. Lori przyspieszyła kroku. Pragnęła jak najprędzej odzyskać swą torbę, by móc zdjąć ten nedorzeczny strój. Bez wątpienia owa bezludna wyspa wywołała w niej to szaleństwo. Można było przewidzieć, że tak wiele słońca, wody oraz prostego, nieskomplikowanego życia w końcu uderzy do głowy osobie stale narażonej na hałas, stanie w korkach i znoszenie przeróżnych, nie zawsze uprzejmych, uwag wujów.

- Nietuzinkowy mężczyzna - prychnęła sama do siebie, gdy już znalazła się na plaży. Ów nietuzinkowy mężczyzna był niewiele lepszy niż wuj Clark, który na każdym kroku zdradzał ciotkę Cheryl i w dodatku nie widział w tym nic złego.

- One nic dla mnie nie znaczą - zwykł powtarzać. - To przecież do ciebie zawsze wracam.

Lori zatrzęsała się na myśl, że Haze mógłby powiedzieć Justine coś takiego o niej: „Ona nic dla mnie nie znaczy”.

Odpływ miał nastąpić dopiero za godzinę. Lori postanowiła, że najlepiej będzie, gdy już się przebierze. Może gdy włoży spodenki i bluzeczkę, znów będzie mogła rozumować logicznie.

- Zegnaj, Lauro - mruknęła, wpychając do torby sukienkę i szpilki.

Księżyc oświetlał plażę srebrzystymi promieniami, palmy szumiały, poruszane delikatnym wietrzykiem, z oddali słychać było dźwięki muzyki. W tej chwili mogłaby leżeć w jego ramionach...

Aby skierować swe myśli na inny tor, Lori zaczęła przetrząsać torbę w poszukiwaniu książeczki, którą kupiła w hotelowym sklepiku. Był to podręcznik do nauki wykonywania plecionek z liści palmowych.

Jak się okazało, aby uzyskać najlepsze rezultaty, należało użyć świeżo ściętych, giętkich liści. To wyjaśniało, czemu do tej pory nie udało jej się nic upleść, używała bowiem liści zebranych uprzednio z ziemi...

A mogłaby teraz tulić się do niego, całować te jego zmysłowe usta...

- Aby wykonać niewielką kwadratową matę, należy przygotować sześć dużych liści palmowych - przeczytała na głos.

Lori posiadała niezwykle cenną zdolność koncentracji, którą wykorzystwała w tej chwili na wgłębianie się w tajniki wyplatania miseczek i koszyków. Wszystko było lepsze od rozmyślenia o tym, co mogłaby teraz robić...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Całkiem nieźle, zwłaszcza jak na pierwszy raz, pomyślała Lori, zakładając na rękę własnoręcznie wykonaną bransoletkę z liści palmowych. Prawdziwym dziełem sztuki była również opaska, która podtrzymywała jej sztywne od słonej wody włosy. Chcąc bowiem zmyć z siebie wszelkie ślady poprzedniego wieczoru, Lori z samego rana wykapała się w morzu.

Wziąwszy duży nóż, wyruszyła w kierunku plaży, gdzie rosły dorodne palmy. Wspięła się nie bez trudu na jedną z nich i odcięła kilka soczystozielonych gałęzi, które opadły z szelestem na ziemię. Ona sama pozostała jeszcze przez chwilę na drzewie, skąd rozciągał się malowniczy widok na szmaragdowe morze. Lekki wietrzyk poruszał nieznacznie gałęziami drzew, dając chwilowe wytchnienie od popołudniowego upału.

Prawie jak w raju, pomyślała z westchnieniem. Gdyby tylko nie poznała Callahana... Bezwiednie machnęła nożem i obcięła jeszcze jedną gałąź, która zsunęła się o kilkanaście centymetrów w dół, po czym uwięzła.

Westchnąwszy ponownie, zaczęła schodzić na ziemię. Jej myśli wciąż krążyły wokół Haze'a, choć z całych sił próbowała skierować je na inny tor. Ten mężczyzna obudził w niej uczucia i pragnienia, których przez tyle lat nie dopuszczała do głosu. Powinna natychmiast odzyskać kontrolę nad swymi emocjami. Ma lepsze rzeczy do roboty, niż rozmyślanie o niedoszłym romansie z facetem, który w drodze do łóżka z najnowszą zdobyczą telefonuje do innej kobiety. Sądziła, że wyplatanie ozdób z liści palmowych będzie wystarczającym antidotum na Hazel a, ale zawiodła się. Owszem, było absorbujące, ale nie zdołało powstrzymać jej od myślenia o nim.

Lori była już w połowie drogi na ziemię, gdy oparła stopę na gałęzi ledwo widocznej spod dwóch rozwidlających się konarów. Zabrzęczały delikatnie muszelki, zwisające z niedawno wykonanej przez nią bransoletki, więc zatrzymała się na chwilę, by móc podziwiać swe dzieło. Niespodziewanie gałąź, na której stała, poruszyła się, toteż Lori czym prędzej cofnęła stopę. W tej samej chwili promienie słońca przebiły się przez gąszcz liści i oczom jej ukazała się nie gałąź, ale silne, opalone ramię. Owo ramię przechodziło następnie w szeroki biceps, na którym widniał niewielki tatuaż.

Czyjaś dłoń odsunęła nieco gałęzie rosnącej pod palmą kazuaryny. Znajome ciemnoniebieskie oczy przyglądały jej się z nie skrywanym zainteresowaniem. Lori poruszyła się niespokojnie.

- A oto królowa dżungli we własnej osobie - odezwał się Haze.

- Och... Dzień dobry - bąknęła, zupełnie zbita z tropu jego nagłym pojawieniem się. Nie wiedzieć czemu, jej serce waliło jak oszałałe.

Chcąc jak najszybciej znaleźć się na ziemi, postawiła stopę na niższej gałęzi. To był błąd. Jej noga uwięzła w szczelinie pomiędzy dwoma konarami, a sama Lori straciła kompletnie równowagę. Haze wprawdzie wyciągnął ku niej rękę, ale było już za późno. W ułamku sekundy obydwójce leżeli-na ziemi.

Lori upadła na Haze'a, który od razu to wykorzystał i przeturlał się tak, by znalazła się pod nim. Kosmyki włosów wchodziły jej w oczy, więc widziała go bardzo niewyraźnie, ale pozostałe zmysły działały bez zarzutu. Ciężar jego ciała przyciskał ją do piasku, każdym centymetrem skóry czuła jego niepokojącą bliskość.

Tymczasem Haze odgarnął jej włosy z twarzy, mogła więc spojrzeć mu prosto w oczy.

- Co się z tobą wczoraj działo? - spytał stanowczym głosem. - Czyżbyś zgubiła się po drodze do toalety? A może po prostu stchórzyłaś?

- Daj mi wstać - zażądała, próbując wyśliznąć się spod niego.

Niestety, był od niej dużo silniejszy. Złapał ją błyskawicznie za nadgarstki, tak by nie mogła się wyswobodzić. Jego spojrzenie wędrowało po jej nie umalowanej twarzy, potarganych włosach, aż w końcu spoczęło na ustach.

- Czekam na wyjaśnienia - oznajmił. - Przez ciebie siedziałem tam wczoraj przy stoliku jak jakiś idiota.

Akurat. Gdy ona widziała go po raz ostatni, siedział, owszem, ale przy telefonie i rozmawiał z Justine. Ale tego, oczywiście, nie mogła mu powiedzieć.

- Widziałam - prychnęła. - Świętowałeś kolejne zwycięstwo. Jak się okazało, zbyt wcześnie.

- Skąd ta pewność, że zbyt wcześnie? - Jego oczy zalśniły szelmowsko.

Lori zarumieniła się po same uszy. Rzeczywiście, jej reakcja na jego bliskość była właściwie jednoznaczna. Przyspieszone bicie serca, płytki oddech i ta dziwna słodka słabość... Zerknęła na tatuaż na jego ramieniu. Była to czterolistna koniczynka. Nic ekstrawaganckiego, a jednak sam

fakt, że miał ten tatuaż, czynił go w oczach Lori silniejszym i bardziej niebezpiecznym.

Jej ręka bezwiednie powędrowała na kark Haze'a i jeden z palców zaczepił o gumkę, zbierając jego włosy w kucyk. Chwilę później jego twarz okalała masa lśniących czarnych włosów, nadając mu wygląd celtyckiego wojownika. Nie mogąc się powstrzymać, Lori wyciągnęła dłoń, by dotknąć grubego pasma, opadającego mu na czoło. Gdy tylko Haze dostrzegł w jej oczach owo przemożne pragnienie, pochylił się i ich usta spotkały się.

Całował ją to zachłannie, to znów delikatnie, to gorąco, to znów niesłychanie czule. Ona zaś odpowiadała na jego pieśczętę z całą mocą, z jaką od lat pragnęła prawdziwej miłości, a od kilku dni - jego samego.

Zdawało jej się, że pocałunek ten trwał całe wieki, tak jak wieki czekała, by ktoś rozbudził w niej tak silną namiętność. Z całego serca pragnęła, by na zawsze pozostali tak spleceni w gorącym uścisku... Nagle usłyszała nad głową szelest, a potem swój własny krzyk. Poczowała piekący ból w samym środku czoła.

- Wszystko w porządku? - spytał Haze z troską w głosie. - Masz czerwony ślad na czole.

Zajrzał jej głęboko w oczy, a jej pozostawało tylko mieć nadzieję, iż nie dostrzegł zażenowania, jakie ją ogarnęło. Gdyby tylko mogła cofnąć czas o tych kilkanaście minut...

Lori usiadła, by pozbierać myśli. A więc jednak plecionki z liści palmowych nie były takim najgorszym lekiem na Haze'a, bowiem to właśnie owa gałąź, która swego czasu uwięzła w gęstwinie liści, wreszcie spadła i uderzyła ją w głowę. Dokładnie tego było jej trzeba. Podniosła się szybko i poprawiła nieco przesunięte bikini. Widząc to, Haze uśmiechnął się ironicznie.

- Pytałem o ciebie w recepcji - oświadczył, podnosząc z piasku swą gumkę do włosów. - Nie mają rezerwacji na nazwisko Lorelei Tate. Gdzie w takim razie mieszkasz? Na innej wyspie? Masz łódź? - dopytywał się.

- Coś w tym stylu - bąknęła, zastanawiając się, czy powinna wyznać mu prawdę o swym obozowisku. Doszła jednak do wniosku, że utrzymując to nadal w sekrecie, ma nad nim pewną przewagę, postanowiła więc nic nie mówić. Ruszyła zatem w kierunku plaży, aby Haze nie wpadł na ślad jej obozowiska.

- A więc, dlaczego wczoraj uciekłaś? W świetle wydarzeń sprzed paru minut - tu ostentacyjnie strzepnął z ramienia kilka ziarenek piasku - sędzę, że raczej nie zdecydowałaś, iż mimo wszystko nie podobam ci się.

Lori zarumieniła się ponownie. Stało się jasne, że tak łatwo nie wyprze się swej żywiołowej reakcji.

- Cóż... - zaczęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Gorączkowo poszukiwała jakiegoś argumentu, który pozwoliłby jej wyjść z twarzą z tej niezręcznej sytuacji. Byłoby jej zdecydowanie łatwiej, gdyby nie podziwiała Callahana za jego umiejętności, które pozwalały mu ratować ludzkie życie, gdyby nie widziała jego uroczego domu...

- A więc jednak stchórzyłaś - zawyrokował Haze tonem, jakim mówi pewny swej atrakcyjności mężczyzna do spłoszonej kobietki. - Nie ma w tym nic złego. To prawdopodobnie moja wina, mogłem ci się wydać zbyt brutalny, po tym, jak prawie siłą ściągnąłem cię z parkietu.

A później gawędziłeś przez telefon z przyjaciółką, dodała w myślach.

- To prawda - przyznała cicho. W rzeczywistości miała ochotę udusić go za ten pobłażliwy ton, jakim do niej przemawiał. Zupełnie jakby była kapryśną małą dziewczynką.

- A więc, co teraz zrobimy z tym fantem, Lauro? - spytał miękko.

Szli przez chwilę w milczeniu, aż w końcu Lori zatrzymała się gwałtownie.

- Haze, mam dla ciebie propozycję - oznajmiła.

- Sądziłem, że propozycję mamy już za sobą, ale w porządku, jestem nowoczesny, nie razi mnie, gdy to kobieta składa propozycję mężczyźnie.

- Obydwoje zgadzamy się co do tego, że mamy wszystkie warunki, aby przeżyć wakacyjną przygodę - ciągnęła.

- Raczej nie wszystkie - poprawił ją z ironicznym uśmiechem. - Zniknęłaś dokładnie w momencie gdy mieliśmy tę przygodę rozpocząć.

Lori nie dała się zbić z pantałyku tą uwagą. Negocjowanie warunków umowy było dla niej chlebem powszednim i wreszcie czuła się pewnie w obecności Haze'a.

- Nie wątpię, że byłoby nam całkiem, hmm... przyjemnie - przyznała z wahaniem.

Callahan wybuchnął gromkim śmiechem.

- Całkiem przyjemnie?! Spróbuję potraktować to jako komplement.

~ W każdym razie chodzi mi o to, że nie powinniśmy bezmyślnie marnować szansy, która stoi przed nami. Możemy przecież pomóc sobie nawzajem - kontynuowała, nie zrażona jego reakcją.

Haze wziął się pod boki i popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- O tym, że nie należy mieszać interesów z przyjemnościami

- odparła i ruszyła wzdłuż plaży. - Grozi ci utrata szkoły i domu. Potrzebujesz pieniędzy, a ja mogę ci w tym pomóc.

Haze złapał ją za ramię i odwrócił gwałtownie, także stanęła z nim twarzą w twarz. Jego ciemnoniebieskie oczy ciskały błyskawice.

- Pieniądze?! - warknął. - Czy ja się przesłyszałem, czy ty w takiej chwili mówisz o pieniądzach?

Lori próbowała stłumić drżenie, jakie wywoływał w niej jego dotyk. Dla niej też ta chwila była ważna, dlatego pragnęła jak najprędzej dojść do sedna sprawy.

- Proponuję ci pewien układ. Ja ze swej strony zapewnię ci środki na opłacenie podatku i rozbudowę szkoły, tak byś nie musiał sprzedawać domu....

Silne palce zacisnęły się jeszcze mocniej na jej ramieniu.

- Układ z rodziną Tate! - prychnął. - Czego więc oczekujesz w zamian? Hipoteki na wszystko, co posiadam? A może mojej duszy?

- Nie bądź niemądry - zachnęła się.

- A więc czego ode mnie zażadasz?

- Chcę, żebyś się ze mną ożenił.

Haze przyglądał jej się z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami.

- Co takiego?! - przemówił w końcu.

- Tylko na pewien czas - Lori pospieszyła z zapewnieniem. - Woody nie określiła, jak długo mam być zamężna. Sądzę, że rok wystarczy.

- Co?! - powtórzył, tym razem głośniej.

- W porządku, niech będzie sześć miesięcy - zgodziła się, intensywnie próbując przypomnieć sobie, jak dokładnie brzmi ów zapis. - Tak, zdaje się, że pół roku w zupełności wystarczy.

- Sześć miesięcy... - wychrypiął. Lori uniosła brwi do góry.

- Obawiam się, że nie mogę zejść poniżej sześciu miesięcy, Haze - odparła. - Pół roku to prawdopodobnie najkrótszy okres, jaki może uwiarygodnić zawarcie małżeństwa.

- Do diabła z twoimi sześcioma miesiącami - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Lori postanowiła nie zwracać większej uwagi na oznaki jego gniewu. Bądź co bądź odebrała mu inicjatywę dokładnie w momencie, kiedy sądził, że ma nad nią przewagę. Na pewno przypuszczał, iż, oczarowana jego mistrzowskimi pocałunkami, będzie się nieustannie rumieniała i jąkała, tymczasem ona myślała trzeźwo i logicznie. Był to prawdziwy cios dla męskiego ego.

Rzeczywiście te krótkie wakacje dobrze jej zrobiły. Dzięki nim mogła wpaść na tak proste rozwiązanie trapiącego ją problemu. Lori czuła niesmak na myśl, w jakim stanie nerwów przybyła na wyspę. Teraz miała się znacznie lepiej. Co do Laury. .. Cóż, Laura była jedynie manifestacją tłumionych pragnień i frustracji, nic więcej. Czymś w rodzaju terapii, jak widać skutecznej. Teraz, gdy Lorelei Tate była znów sobą, Laura mogła odejść wraz ze swymi szalonymi pomysłami.

- To jak, zgadzasz się? - ponagliła Haze'a, który wciąż wpatrywał się w nią oczyma rozszerzonymi zdumieniem.

- Ale dlaczego? - wykrztusił. - Dlaczego tak ci zależy na małżeństwie?

- Pamiętasz,, jak ci mówiłam, że ja też utracę pewien dom? Kiwnął głową na znak, że pamięta, więc wyjaśniła mu krótko kwestię testamentu Woody.

- Widzę, że należysz do ludzi, którzy nigdy nie mają dość - skomentował z cynicznym uśmiechem. - Jesteś już dostatecznie bogata, ale nie możesz pozwolić, by fortuna twej chrzestnej matki przeszła ci koło nosa. Swoją drogą, musi to być niezła posiadłość, skoro panna Tate, wzór niezależności, rozważyła możliwość wyjścia za mąż, by ją odzyskać.

Lori już otwierała usta, by wyjaśnić mu, iż Woody wcale nie była bogata i nie zostawiła po sobie domu pełnego kosztownych sprzętów, ale doszła do wniosku, że nie potrzebuje tłumaczyć się przed kimś, kto z góry założył, iż jest zepsuta do szpiku kości.

- Powiedz, od jak dawna chodzi ci to po głowie? - spytał oskarżycielskim tonem Haze. - Jak wpadłeś na ten genialny pomysł?

- O ile pamiętasz, pierwszy wspomniał o tym twój kumpel Tom. Mój pomysł powstał dopiero parę minut temu. - To powiedziawszy, machnęła niedbale w kierunku miejsca, gdzie jeszcze tak niedawno leżeli na piasku.

Ta wiadomość wyraźnie pomogła Haze'owi odzyskać wiarę w siebie.

- A więc nie udawałaś, że ci się podobam? - powiedział z wyraźną ulgą.

Przez chwilę Lori zastanawiała się, czy uwierzyłby, gdyby odparła, że jednak udawała, ale doszła do wniosku, iż nie ma co się wypierać. Szalona zielona sukienka, doskonały humor, uległość, z jaką poddawała się jego pieścizotom, zarówno wtedy na parkiecie, jak i niedawno pod palmami, mówiły same za siebie. Żaden mężczyzna, nawet święcie przekonany o jej materialistycznym podejściu do świata, nie uwierzyłby w takie kłamstwo.

- Oczywiście, że nie. Mówiłam ci, bardzo pragnęłam... Doszłam jednak do wniosku, iż niemądrze byłoby zmarnować sytuację, która mogłaby okazać się korzystna dla nas obojga. Dlatego wczoraj odeszłam. Zawsze uważałam, że lepiej nie mieszać interesów z przyjemnościami.

- Zmarnować sytuację - powtórzył powoli, przyglądając się jej, jakby spadła z księżycy. - A więc przestałaś się mną interesować jako mężczyzną i zobaczyłaś partnera w interesach?

- Mniej więcej tak było.

- Tak po prostu? - dopytywał się.

Lori uśmiechnęła się lekko. Najwyraźniej oczekiwał, że wyzna mu, jak ciężko jej było zrezygnować z niego jako potencjalnego kochanka.

- Nie powiedziałabym, że to stało się tak po prostu. Wszystko, co jest cenne, wymaga wysiłku i wyrzeczeń. Sądzę jednak, że wyjście, które proponuję, jest na dłuższą metę korzystniejsze dla nas obojga, nieprawdaż?

- Jako nastolatka obywałaś się bez zabawy i tańca, aby móc się uczyć. Potem nie wiązałaś się z nikim, bo chciałaś się skoncentrować na swojej karierze. Czy ciągle odmawianie sobie przyjemności to twój klucz do sukcesu?

Lori zdumiała się, że pod wpływem szampana i miłej atmosfery przy kolacji zdążyła mu to wszystko powiedzieć. Za nic w świecie nie przyznałaby się, iż to poświęcenie, którego dokonuje w tej chwili, jest dla niej najtrudniejsze.

- A więc to cię trapi? - obruszyła się. - Mężczyźni wiecznie narzekają, że kobiety są słabe i kierują się emocjami, ale gdy spotkają taką, która gotowa jest poświęcić chwilową przyjemność dla jakiegoś wyższego celu, krytykują ją za tę determinację.

- Wyższe cele! - prychnął. - Chciałaś chyba powiedzieć: pieniądze. Przypuszczam, że powinienem być dumny, że choć przez chwilę pomyślałaś o mnie jak o kochanku. Ale wtedy nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Zimne dłonie, zimne serce.

- Nie zapomnij, że mogę ci pomóc stanąć na nogi - przypomniała cierpliwie. - Jeśli chcesz, przejrzę twoje księgi podatkowe i...

- Daj mi święty spokój - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Nie ożeniłbym się z tobą, nawet gdyby cała moja rodzina miała pójść z torbami. Już wolałbym przykuć się kajdankami do góry lodowej. Możesz dalej szukać sobie męża, złotko, bo ja nie reflektuję na. twoją propozycję.

- Nie wydaje ci się, że przesadzasz? - Lori wzruszyła ramionami. - Wiesz dobrze, że to niezły pomysł. Przecież nic to by nie zmieniło w twoim życiu osobistym, ponieważ i tak nie możesz ożenić się z Justine dopóki nie dostanie rozwodu.

- Justine? - powtórzył ze zdziwieniem. - A co ma z tym wszystkim wspólnego Justine?

- Na litość boską, Haze, czy sądzisz, że jestem ślepa? - zachnęła się. - Przecież na własne oczy widziałam, jak się zachowywaliście wtedy na drodze. Mało brakowało, a wznicielibyście pożar. Chyba mi nie powiesz, że nigdy między wami nic nie zaszło.

Przez sekundę miała nadzieję, że on jednak właśnie to powie.

- Nie. Tego nie mogę powiedzieć.

Prawdę, mówiąc, zwykle udowodnienie komuś, że to ona ma rację, wydawało się Lori dużo przyjemniejsze. Callahan nawet nie próbował ukrywać przed nią tego, że coś go łączy z tą rudowłosą pięknoscią.

- Nasza umowa nie wpłynęłaby na twoje kontakty z Justine - ciągnęła Lori. - Na pewno zrozumie, gdy jej wytłumaczysz, że nasze małżeństwo to tylko formalność. Oczywiście, jeśli jej mąż zmieni zdanie co do rozwodu, wystarczy, że dasz mi znać, a wszystko anulujemy po upływie sześciu miesięcy.

- Jasne, wyślę ci wiadomość faksem - zadrwił. - Podatek, faks, miałaś rację, jeśli chodzi o te słowa z literą k.

Lori postanowiła, że nie da mu się zbić z tropu. Poza tym, jeśli będzie myślała tylko o szczegółach planu, może uda jej się zapomnieć o tym, co w ten sposób straci...

- Musisz jednak przyznać, że to świetny plan. Jest w nim coś z architektonicznej symetrii, czyż nie?

- Jasne, architektoniczna symetria, właśnie miałem to powiedzieć - odparł sucho.

- Obydwoje zatrzymamy to, na czym nam zależy, bez przeprowadzania wielkich zmian czy rezygnacji z osobistej wolności - argumentowała. - Zupełnie inaczej niż w prawdziwym małżeństwie.

- Są tacy, którzy uważają, że w małżeństwie więcej się zyskuje niż traci - odparował Haze.

- Owszem. - Lori zmarszczyła brwi. - Tak sądzi większość mężczyzn.

Coś się zmieniło, lecz nie umiała określić, co. Haze był wciąż zły, a raczej wściekły, ale w jego oczach pojawiło się coś nowego. Jakby kalkulował, czy powinien się zgodzić na jej propozycję. Jeszcze raz przesunął taksującym spojrzeniem po jej skąpo odzianej sylwetce, po czym uniósł rękę, by ponownie zebrać włosy w kucyk. Lori wpatrzyła się w niego z fascynacją. Nie rozumiała, jak kiedykolwiek mogła przypuszczać, że jest to tylko i wyłącznie kobiecy gest. W wykonaniu Haze'a wyglądał niesłychanie męsko i zmysłowo.

W następnej sekundzie Haze był już przy niej i jego usta spoczęły na jej wargach. Lori poczuła, jak ogarnia ją słodka niemoc... Serce jej biło jak oszalałe, zagłuszając tym samym wszystkie nakazy rozumu. Nie do końca świadomie splotła ręce na jego karku i odpowiedziała żarliwie na jego pieśczętę. Wtedy Haze uniósł głowę. W jego oczach czaiła się ponura satysfakcja.

- Ta przyjemność nie byłaby chwilowa - oznajmił, po czym odwrócił się na piecie i odszedł.

Lori patrzyła przed siebie tępo. Jak to dobrze, że nie straciłam głowy dla mężczyzny związanego z inną kobietą, pomyślała nie bez smutku. Wkrótce to, co zaszło między nami, będzie tylko wakacyjnym wspomnieniem, z roku na rok coraz bardziej mglistym...

Czekał już na nabrzeżu, kiedy łódź przywoziła Lori na stały ląd w ostatnim dniu jej wakacji. Nie zauważyła go do ostatniej chwili, ponieważ patrzyła w kierunku oddalającej się wysepki, na której spędziła kilkanaście uroczych dni. Minie tydzień, może dwa i będzie jej się wydawało, że mała bezludna wyspa oraz niejaki Haze Callahan to nic innego jak wytwór jej wyobraźni.

Ledwo zdążyła to pomyśleć, a oczom jej ukazało się nabrzeże, na nim zaś nonszalancko oparty o barierkę Haze. Jej serce zabiło mocniej.

- Zgoda - odezwał się na przywitanie.

- Co takiego? - zdumiała się.

- Ożenię się z tobą.

- Ale przecież wcześniej mówiłeś co innego.

- Jestem w większych tarapatach, niż sądziłem - odparł tonem wyjaśnienia i podniósł jej bagaż.

- Mówiłeś, że nie zrobiłbyś tego, nawet gdyby cała twoja rodzina miała pójść z torbami - przypomniała mu, czując, że ogarnia ją panika. - Że wolałbyś zostać przykuty do góry lodowej.

- Zgadza się - mruknął, gdy szli wzdłuż nabrzeża. - Ale potrzebuje pieniędzy. Miałaś rację, to świetny interes, a poza tym...

Lori zwykle lubiła mieć rację, ale tym razem czuła się naprawdę podle.

- Co poza tym? - zainteresowała się.

- Każda góra lodowa musi w końcu stopnieć - odparł, patrząc na nią znacząco.

A gdy już góra stopnieje, będzie przykuty tylko do powietrza, czyli wolny... Lori przypuszczała, iż to miał na myśli, ale w jej głowie panował taki chaos, że trudno jej było zanalizować dogłębnie jego metaforę.

- Muszę złapać taksówkę na lotnisko - poinformowała, widząc, że idą w kierunku samochodu Haze'a.

- Powinnaś raczej odwołać swój dzisiejszy lot. - Wrzucił jej bagaż na tylne siedzenie. - Zarezerwowałem ci pokój w hotelu, ślub odbędzie się w sobotę. O drugiej po południu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Lori wciągnęła powietrze głęboko w płuca. Miała wrażenie, iż wszystko wymyka się jej spod kontroli, mimo że plan był jej.

- Skąd wiedziałeś, kiedy przyplwam na stały ląd?

- Widziałem w twojej aktówce broszurę przewoźnika - wyjaśnił. - Tak się składa, że to mój znajomy, więc...

- A mówi się, że klient ma prawo do dyskrecji - mruknęła. - Zaraz, zaraz. Ślub jest w sobotę? Ależ to już jutro! Przecież nie mamy pozwolenia...

- Wsiadaj - powiedział, otwierając przed nią drzwi auta. - To tylko formalność. Dokumenty już czekają na podpis panny młodej. Wstąpimy tam po drodze. No, dalej - ponaglił, widząc, że Lori wciąż się waha. - Powinnaś okazać choć odrobinę entuzjazmu, skoro już zgodziłem się na ten twój architektonicznie symetryczny plan. Pomyśl o swej pięknej posiadłości w Melbourne. Będzie twoja za niewiarygodnie niską cenę świadectwa małżeństwa.

Jednak mimo najszczerzej chęci, nie mogła myśleć o uroczym domku Woody. Zastanawiała się natomiast, co miał znaczyć ten dziwny błysk w oczach Haze'a. Tak jakby wyzywał ją na pojedynek... Najwyraźniej on również zamierzał skorzystać na ich dziwnym związku, jeśli nie finansowo, to fizycznie. Lori zrozumiała, że jeśli chodzi mu o przyjemność fizyczną, to ona nie ma najmniejszych szans. Wystarczyło, iż ujrzała go na nabrzeżu, a jej serce niemal wyskoczyło z piersi. Sądziła, że najlepiej będzie, gdy wyjdzie za niego za męża, by móc trzymać go na dystans. Wprawdzie zdawało jej się, iż w tym rozumowaniu kryje się jakiś błąd, ale nie umiała go zlokalizować.

Po drodze wstąpili do urzędu, by podpisać dokumenty. Gdy wrócili do samochodu, Lori czuła się bardzo dziwnie. Miała wrażenie, że dokonała właśnie czegoś przełomowego w swym życiu. Przecież to tylko konieczna formalność, tłumaczyła sobie. Podpisała do tej pory setki ważniejszych papierów. Były między nimi również kontrakty opiewające na miliony dolarów. A jednak coś jej mówiło, że ten dokument ma zupełnie inne znaczenie...

Zerknęła niepewnie na Haze'a. Zdawał się być zadowolony i rozluźniony. Najwyraźniej dotarło już do niego, jakie korzyści odniesie, gdy się pobiorą. Jego niezadowolenie, wynikające z faktu, iż nie zostaną kochankami, zniknęło bez śladu. Bądź co bądź zyskał w ten sposób sponsora, a kochankę przecież i tak już miał. Lori zacisnęła zęby. Jak mogła wcześniej nie zauważyć, iż dzięki jej genialnemu planowi nie ona, lecz Haze zbierze lwią część zysków? Ona zdobędzie jedynie domek Woody. Nie wolno mi tak myśleć, zbeształa się w duchu. Przecież ten domek to dla mnie najcenniejsza rzecz pod słońcem. Poza tym utrzymam swą niezależność i będę mogła kontynuować karierę. Czyż nie tego właśnie chciałam?

- Ślub odbędzie się u mnie w domu - przerwał jej ponure rozmyślanie Haze. - Uroczystość w urzędzie odpada, moja rodzina takich ślubów nie uznaje.

- Chyba nie zamierzasz zaprosić rodziny? - spytała słabym głosem, choć przeczuwała już, jaka będzie odpowiedź.

- Tylko parę osób - odparł pogodnym głosem. - W przeciwieństwie do ciebie przejmuję się opinią moich bliskich. Tyle lat czekali na mój ślub, że nigdy nie wybaczyliby mi, gdybym nie zaprosił przynajmniej reprezentacji.

- Wolałabym, żebyś przestał nazywać to ślubem - zaperzyła się Lori. - To nie jest żaden ślub, tylko kontrakt, który zawiera w sobie elementy ceremonii zaślubin.

- My to wiemy, ale oni nie - odparł oschłe Haze.

- Ty będziesz dalej mieszkał tu, ja w Melbourne, więc prędzej czy później zorientują się, że to tylko fikcja.

- Pozwól, że ja się będę martwił tym, co się stanie prędzej czy później - mruknął, po czym zwolnił i nie przestając patrzeć przed siebie, sięgnął na tylne siedzenie po dużą paczkę, którą położył na kolanach Lori. - To mój prezent ślubny dla ciebie, kochanie.

Paczka zawierała kopie zawartych przez jego firmę kontraktów, a także całe mnóstwo rachunków.

- Zadzwoń, kiedy już je przejrzysz - dodał. - Będę dziś u siebie.

Zapewne w towarzystwie Justine, pomyślała z przekąsem. Swoją drogą, ciekawe, jak rudowłosa piękność zareagowała na wiadomość o ich ślubie. A zresztą, co mnie to obchodzi, przywołała się do porządku.

- Sądzę, że powinniśmy przygotować jakiś poczęstunek dla gości - odezwał się ponownie Haze.

- Poczęstunek? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie mam czasu, muszę wracać do pracy.

- Jaka z ciebie pracowita panna młoda - zakpił. - W co się jutro ubierzesz?

Pogardliwe prychnięcie, jakie z siebie wydała, rozbawiło go serdecznie.

- W porządku - odparł, gdy wjeżdżali na hotelowy parking. - Podobno to zła wróżba, gdy pan młody wie, w czym jego oblubienica wystąpi na ślubie.

Lori włożyła kostium, w którym przyleciała z Melbourne.

- Coś nowego - mruknęła z ponurym uśmiechem, nakładając nowiuteńkie pończochy. Zgodnie z przewidywaniami te, które miała poprzednio na nogach, nadawały się do wyrzucenia.

Od samego rana okropnie trzęsły jej się ręce. Zupełnie jakby była prawdziwą panną młodą. No tak, ale każdy się denerwuje przed ślubem, nie tylko młoda para, lecz również goście. Poza tym to nie ślub, tylko krótka, mało znacząca ceremonia, która ma im przynieść określone zyski.

Haze przysłał po nią samochód. Spodziewała się, że będzie to jego zachlapane błotem auto terenowe, a tymczasem przed hotel zajechała morelowa limuzyna, przybrana kremowymi wstążkami. W dodatku na

masce siedziała ubrana na biało lalka, która, Lori dałaby sobie za to rękę uciąć, uśmiechała się drwiąco.

Kierowca auta okazał się być przyjacielem rodziny Callahanów. Przyjrzawszy się pannie młodej, uśmiechnął się melancholijnie.

- Moja mama wyszła za mąż w takim stroju - powiedział. - W czasie wojny.

A więc wyglądam jak wojenna panna młoda, pomyślała Lori z lekką dozą smutku. Zresztą, co za różnica, przecież i tak cała ta uroczystość to fikcja. Nawet jako mała dziewczynka nie marzyła o białej koronkowej sukni, długim welonie ani o bukietach wonnych kwiatów...

Gdy zajechali na miejsce, Haze otworzył przed nią drzwi samochodu, po czym przyjrzał się jej kostiumowi.

- Widzę, że ubrałaś się stosownie do okazji - mruknął.

On natomiast wyglądał niesłychanie elegancko w doskonale skrojonym czarnym garniturze. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do takiego stroju, ponieważ górny guzik śnieżnobiałej koszuli miał rozpięty, a krawat nieco przesunięty w lewo.

Lori poczuła, że ogarnia ją panika. Nie powinna tu w ogóle być. Nie powinna się zgodzić na to przedstawienie. Nie zna Haze'a na tyle dobrze, by móc mu zaufać. Na pewno nic pozytywnego z tego nie wyniknie. Już chciała powiedzieć, że jej plan był straszliwą pomyłką, a potem odwrócić się i wsiąść z powrotem do samochodu, ale Haze najwyraźniej umiał czytać w jej myślach, gdyż złapał ją mocno za ramię.

Dwie kobiety w ogromnych kapeluszach podeszły do nich. Starsza z nich przyglądała się intensywnie Lori, po czym kiwnęła lekko głową na znak aprobaty i uściskała serdecznie pannę młodą. Lori poczuła delikatny, słodkawy zapach pudru do twarzy. Jej mama też takiego używała.

- Witaj, moja droga, jestem matką Haze'a - przedstawiła się nieznajoma.
- Mów mi Meg. - Odsunąwszy się o pół kroku, popatrzyła ze współczuciem na strój Lori. - Biedactwo - westchnęła, po czym żartobliwie klepnęła syna po ramieniu. - Nie mogłeś dać jej choć tyle czasu, by zdążyła sobie kupić jakąś sukienkę?

Haze uśmiechnął się wesoło.

- Mówiłem ci, mamó, nie mogłem czekać. Jeszcze by mi się wymknęła i co wtedy? - Otoczył Lori ramieniem i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Myślę, że powinna pani wiedzieć, pani Callahan, dlaczego wszystko dzieje się w takim pośpiechu... - zaczęła niepewnym głosem Lori. Nie miała serca okłamywać tej przemilej kobiety.

- Ależ, kochanie. - Haze ścisnął jej ramię z całej siły. - Mama jeszcze gotowa pomyśleć, że jesteś w ciąży. - To powiedziawszy, posłał jej tak gorące spojrzenie, że aż się zarumieniła.

- Może rzeczywiście wszystko dzieje się za prędko, ale Haze zawsze wie, co robi, więc się nie martwię - uśmiechnęła się Meg. - Cała nasza rodzina jest bardzo ze sobą zżyta, ale nigdy nie zadajemy zbędnych pytań, gdy widzimy, że ktoś nie ma ochoty na nie odpowiadać. Tak więc, jeśli chodzi o nas, jesteś już częścią rodziny. A teraz musimy coś zrobić, żeby jakoś ożywić twój kostium. - To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i odeszła, zostawiając ich z drugą kobietą, która przyglądała się Lori z przyjaznym zaciekawieniem.

- To jest moja siostra, Jackie Duncan - Haze dokonał prezentacji. - Jackie była tak uprzejma, że w ostatniej chwili zorganizowała dla nas poczęstunek.

Najwyraźniej manipulowanie mną sprawia mu ogromną przyjemność, zirytowała się w duchu Lori.

- Och, bardzo dziękuję... Jackie uściskała ją serdecznie.

- Wyglądasz na bardzo zdenerwowaną. Wcale się nie dziwię, tylu tu nie znanych ci ludzi. Nie martw się, po rozpoczęciu ceremonii poczujesz się od razu lepiej. Mój mąż prosił, aby was przeprosić, że nie mógł dziś przybyć. Jest pilotem i niestety nie mógł przesunąć dyżuru. Czy poznałaś już Amandę? Gdzieś tu się kręci... O, przepraszam, ale przywieźli właśnie wazę z ponczem...

Wciąż przybywało coraz więcej gości. Wśród nich Lori dostrzegła męczyzną obładowanego sprzętem fotograficznym.

- Fotograf - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie mówiłaś, że zamówiłaś jeszcze fotografa.

- Och, to tylko' Gary. To mój stary przyjaciel, robi zdjęcia do moich książek.

Pojawił się również Tom, który z miną osoby wtajemniczonej rozповідаł wszystkim, iż od początku przeczuwał, że coś z tego będzie. A to drań, pomyślała Lori. Zapomniał już, że jedyną pozytywną rzeczą, jaką o niej na początku powiedział, było stwierdzenie, iż ma mnóstwo pieniędzy oraz całkiem niezłe nogi.

- Powiedziałaś, że będzie tylko parę osób - warknęła półgłosem. - Zaprosiłeś chyba pół okręgu.

- Wiesz, jak to jest, zaprosisz jedną osobę, to ktoś drugi obrazi się, że został pominięty, więc... - Wzruszył nonszalancko ramionami.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym tu zobaczyła Justine! Haze uśmiechnął się lekko.

- Nie, nie przyjdzie. Powiedziała, że nie zniosłaby tego widoku.

Lori poczuła, jak żądło zazdrości ukłuło ją w samo serce. To tylko formalność, jeden z elementów umowy, upomniała się w duchu. Nawet gdyby nie było Justine, i tak nic by to nie zmieniło. Mężczyzna w jej życiu byłby zbyt absorbujący, przeszkadzałby jej w pracy.

- Wiem, że chcesz przekonać swą rodzinę co do autentyczności naszego małżeństwa, ale czy musisz wyglądać tak...

- Na tak zakochanego? - dokończył Haze, patrząc na nią tak gorąco, że musiała po raz setny upomnieć samą siebie, że to tylko zasłona dymna. - Oni tego właśnie oczekują. Wiedzą, że nigdy jeszcze nie zabrnąłem tak daleko.

- A skąd niby mają to wiedzieć?

- Bo nigdy dotąd nie chciałem się ożenić.

Lori spojrzała na niego z niedowierzaniem. W jego oczach dostrzegła szczerą czułość i ciepło. Był świetnym aktorem, musiała mu to przyznać.

- Czy oni nie wiedzą nic o Justine?

- Nie opowiadam mamusi o każdym drobiazgu - odparł z uśmiechem.

Drobiazgu? Jak on mógł tak powiedzieć o kobiecie swego życia? W dodatku zdawał się nie widzieć nic złego w tym, że oszukuje matkę. Lori poczuła się rozczarowana. Ale czegoż się spodziewała? Przecież wychowała się w otoczeniu mężczyzn, którzy właśnie tak postępowali.

Czuła się coraz bardziej zdenerwowana, więc aby zająć się czymś, zaczęła ku niebotycznemu zdumieniu Haze'a poprawiać mu krawat.

- Twoja siostra wspomniała o jakiejś Amandzie - odezwała się, walcząc z opornym guzikiem koszuli. - Kto to taki?

- To twoja druhna.

- Co takiego? - Lori nie posiadała się z oburzenia. - Znalazłeś mi nawet druhnę? Nie wiesz, że to funkcja zarezerwowana dla najbliższej przyjaciółki panny młodej? Nie chcę, żeby jakaś obca kobieta była moją druhną.

Ledwo skończyła to mówić, a już się zorientowała, że dała się zapędzić w kozi róg. Przecież ona w ogóle nie chciała druhnym. Druhny owszem, są potrzebne, ale na prawdziwym ślubie!

- Jak cię znam, to pewnie wybrałaś mi na druhną jedną ze swych byłych dziewczyn - warknęła. - Nic z tego, nie potrzebuję jej... Auu...

Haze uszczypnął ją tak mocno, że aż zamilkła z oburzenia. Dopiero wtedy zauważyła stojącą przed nimi dziewczynkę w długiej błękitnej sukience i słomkowym kapeluszu, przyozdobionym stokrotkami i niezapominajkami.

- Lauro, to jest Amanda, córka Jackie - odezwał się Haze. Lori popatrzyła na jej sympatyczną piegowatą twarzyczkę.

- Mam na imię Lori - przedstawiła się.

- Nie jestem druhną - wyjaśniła mała z powagą w głosie. - Jestem dziewczynką do sypania kwiatów.

Lori uśmiechnęła się ciepło. Nie miała zamiaru sprawiać przykrości tej rezolutnej dziewczusce.

- Ach, dziewczynka do sypania kwiatów. To zupełnie co innego.

- Tylko że ja jeszcze nigdy nie sypałam kwiatów, ciociu Lori. Ciociu Lori. Cały klan Callahanów, włączając w to małą

Amandę, był dla niej stanowczo za miły. W jej architektonicznie symetrycznym planie nie było mowy o żadnej rodzinie, ale Haze oczywiście musiał wszystko popsuć. Teraz czuła się podle, oszukując tych wspaniałych ludzi. Gdyby tylko przyjęli ją chłodno, bądź traktowali jak intruza... Nie miała serca powiedzieć temu urocemu dziecku, że cała ta uroczystość jest jednym wielkim oszustwem, a ona nie potrzebuje dziewczynki do sypania kwiatów.

- Jestem pewna, że dasz sobie świetnie radę - zapewniła małą.

Lori nie miała również serca odmówić przyjęcia kremowej jedwabnej apaszki, którą Meg udrapowała jej wokół szyi jako coś pożyczonego, ani też modlitewnika, wsuniętego jej do ręki przez Jackie.

- Coś starego i coś niebieskiego - wyjaśniła siostra Haze'a. - To znaczy niebieska jest zakładka.

Przyjęła także pachnący bukiet orchidei, miniaturowych różyczek oraz tuberoz, podany jej dumnie przez Amandę, gdy już stali przed kapłanem.

Zapewne powiedziała wszystko, co należało, stojąc u boku Haze'a na werandzie jego domu, gdyż w końcu usłyszała słowa kapłana:

- Ogłaszam was mężem i żoną.

Popatrzyła na Haze'a z obawą. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że nie powinna była tego robić, że to, co się stało, jest już nieodwracalne. Haze także miał poważny, a nawet zmartwiony wyraz twarzy, ale już po chwili uśmiechnął się promiennie. Rozradowani goście zachęcali go okrzykami, by pocałował pannę młodą, więc pochylił się nad nią...

Jeśli za pomocą tego pocałunku chciał uspokoić swą rodzinę, że wszystko jest w porządku z ich dziwnym małżeństwem, z pewnością udało mu się to w stu procentach. Wziął Lori w ramiona i pocałował tak gorąco i czule, że ona sama prawie uwierzyła, iż jest kobietą, na którą czekał tyle lat. Gdy skończył, stała jeszcze przez chwilę przytulona do niego, onieśmielona i, wbrew samej sobie, wzruszona. Tak bardzo bym chciała, żeby to wszystko było prawdą, pomyślała znienacka. Ależ nie, skarciła się w duchu. Dałam się po prostu uwieść tej uroczystej atmosferze. Za dużo słońca, soczystej zieleni drzew tropikalnych i śpiewu ptaków, po prostu uderzyło mi to do głowy.

Na szczęście nikt nie wygłaszał przemówień ani nie wznosił uroczystych toastów. Panowała po prostu miła atmosfera spotkania towarzyskiego. Po godzinie młoda para, obsypana szczerze konfetti, odjechała terenowym samochodem Haze'a, przybranym przez jego bliskich serpentynami, puszkami oraz stosownymi napisami, wykonanymi pastą do zębów. Zanim wjechali na główną drogę, Haze zatrzymał się, by odzepić brzęczące dekoracje, Lori natomiast próbowała zetrzeć napisy z karoserii, niestety z miernym skutkiem. Dość wyraźny ślad słowa „nowożeńcy” pozostał.

- Cóż za głupi zwyczaj - mruknęła, sapiąc z wysiłku. Odwróciwszy się, pochwyciła uważne spojrzenie Haze'a.

- Niektórych rzeczy nie da się tak łatwo wymazać, Lauro, kochanie. Jeśli teraz zaczęłaś powątpiewać w genialność twego planu, to przypominam, że jest już za późno. Jesteśmy małżeństwem i pozostaniemy nim, dopóki nie podejmiemy innej decyzji.

Aż do śmierci... To mu dziś przyrzekła.

- Och, przestań mnie psychoanalizować - zachnęła się z niechęcią. - Próbuję po prostu uratować przed zniszczeniem karoserię. I nie nazywaj mnie Laurą!

- Przecież sama mnie poprosiłaś na wyspie, żebym cię tak nazywał - przypomniał.

- Owszem, ale to było, jak sam wspomniałeś, na wyspie. Teraz możesz nazywać mnie Lori.

- Lori Callahan - powiedział na próbę. - Brzmi całkiem nieźle.

- Lori Tate - poprawiła ostro. - Nie wyszłam za ciebie dla twojego nazwiska, ale dla świadectwa małżeństwa.

- Wiec już je masz - odparł chłodno. - Dopilnuj, żebym i ja uzyskał to, co mi się należy.

- Twoje problemy finansowe zostaną rozwiązane, gdy tylko wrócę do Melbourne, obiecuję.

- Czy to znaczy, że mogę spać spokojnie? Jaką mam pewność, że mnie nie oszukasz? Przecież masz już to, na czym ci zależało.

- To nie ja ustalałam datę ślubu. - Wzruszyła ramionami.

- Pierwsza zasada w biznesie brzmi: nigdy nie wypełniaj swej części umowy, dopóki nie masz pewności, że druga strona też wypełni swe zobowiązania. Powinieneś być poczekać z organizacją ceremonii do momentu, gdy dostaniesz umowę na piśmie.

- W takim razie nie dla mnie świat wielkiego biznesu - odparował. - Teraz po prostu muszę ci zaufać.

Wsiadł do samochodu dokładnie w momencie, gdy zsuwała z palca obrączkę.

- Powinieneś móc ją jeszcze zwrócić. - Podała mu złoty krążek. - Oddadzą ci pieniądze.

- Zatrzymaj ją - wycedził przez zęby i posłał jej takie spojrzenie, że natychmiast cofnęła rękę.

- Dotrzymałeś swojej części umowy, ja dotrzymam swojej - zapewniła. - Możesz spać spokojnie. Zawsze dotrzymuję danego słowa.

- Uczyniłaś dzisiaj kilka obietnic - zauważył niespodziewanie miękkim głosem. - Czy tych także zamierzasz dotrzymać?

Biorę cię za męża... Ślubuję ci miłość... wierność... uczciwość małżeńską... Na twarzy Lori odmalowało się przerażenie, gdy przypomniała sobie słowa przysięgi.

- W takim razie mogę spać spokojnie. - Haze uśmiechnął się.

Siedząc w samolocie do Melbourne, Lori zastanawiała się, jak przekaże tę wiadomość rodzinie. Zapytają: Co ciekawego robiłaś na wakacjach? A ona odpowie: Och, pływałam, opalałam się, nauczyłam się robić plecionki z liści palmowych, wyszłam za męża.

Wyszłam za mąż! Na myśl o tym Lori prychnęła śmiechem, aż jeden ze współpasażerów posłał jej zdumione spojrzenie. Powinna być naprawdę dumna z siebie. Ocaliła dom oraz ogród Woody, nie czyniąc odstępstwa od swych zasad. Oparła się pokusie krótkotrwałej przyjemności, mając na względzie zdobycie czegoś trwałego i ważnego. Czemu więc od czasu do czasu robiło jej się dziwnie smutno i pocierała kciukiem miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się obrączka?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Córka Fairlie i Carsona urodziła się w lipcu. Sześć tygodni później, podczas chrzcin małej, Lori pomyślała, że wszystko zaczyna iść ku dobremu. Mając u boku silną, niezależną Fairlie oraz jej małą córeczkę, która z pewnością wyrośnie na równie zdecydowaną i ambitną kobietę, ona sama nie będzie już czuła się tak samotnie w tym męskim bastionie, jakim jest jej rodzina. Nie przewidziała tylko, że jej samotność miała ostatnio inne źródło...

- No i co o niej sądzisz? - spytał rozpromieniony Carson, który właśnie trzymał w ramionach swe ukochane maleństwo.

Lori nigdy nie wiedziała, co odpowiedzieć na takie pytanie, bo cóż, na litość boską, można sądzić o półtoramiesięcznym niemowlęciu? Każde ma niebieskie oczy, niewiele włosów i nie ukształtowane jeszcze rysy twarzy, a jakiegokolwiek podobieństwo do któregoś z członków rodziny istnieje tylko w oczach osób patrzących. Ale Lori znała swoje obowiązki.

- Jest prześliczna - odrzekła, patrząc na maleńkie zawiniątko, które nazywało się Felicity Sara Tate. - A w dodatku sprawiła, że wyraźnie odmłodziłaś. Już ślub z Fairlie odjął ci przynajmniej dziesięć lat, ale teraz już całkiem wyglądasz na młokosa, mimo przyprószonych siwizną skroni.

Kuzyn uśmiechnął się i posłał jej uważne spojrzenie.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo o tobie, ale, prawdę mówiąc, postarzałaś się, odkąd wyszłaś za mąż.

Lori poczuła ucisk w sercu, jednak za żadne skarby świata nie mogła dać tego po sobie poznać.

- Dzięki, Carson. Będę chyba musiała zrobić lifting twarzy, by pozbyć się zmarszczek.

- Widujesz się chociaż z nim od czasu do czasu?

Znów ten nieznośny ucisk w sercu. To dlatego, że powróciła do starych przyzwyczajeń i wciąż nie dosypiała oraz piła zbyt dużo kawy.

- Kogo? - spytała pozornie obojętnym głosem, sięgając po kieliszek z winem.

- Twojego męża.

- Zwykłam raczej myśleć o nim jak o partnerze w interesach - wyjaśniła.

- Nie, nie widuję go.

Rodzina Haze'a z pewnością już się zorientowała, że ich ślub był tylko zwykłym udawaniem. Na pewno czują się zawiedzeni i oszukani. Nie

zasłużyli na takie traktowanie, pomyślała z żalem. Od tamtego dnia minęło już wiele tygodni, ale ona wciąż nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia w stosunku do tych serdecznych, otwartych ludzi. Szkoda, że nie mogła im wszystkiego wyjaśnić...

Jej własna rodzina była zszokowana tą wiadomością. Wujowie przy każdej sposobności wspominali o „mężczyźnie Lorelei”. Wuj Clark nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że Lori wyszła za mąż, nie podpisawszy wcześniej intercyzy, toteż od razu polecił swym prawnikom przygotowanie odpowiednich dokumentów. Ritchie, którego żona pochodziła z bogatej i szanowanej rodziny, stwierdził, iż nie wyobraża sobie, jak można traktować małżeństwo jako sposób na zdobycie majątku bądź nieruchomości. Mark natomiast nie mógł jej tego wybaczyć.

- Sądziłem, że jesteś przeciwna małżeństwu - oznajmił oskarżycielskim tonem. - Masz chyba serce z kamienia, skoro byłaś w stanie wyjść za mąż tylko po to, by odzyskać dom Woody. Poza tym, to musi być okropny mięczak, skoro ożenił się z tobą dla pieniędzy.

Ciekawe, jak zareagowałyby Mark, gdyby zobaczył Haze'a. Na pewno nigdy więcej nie nazwałby go mięczakiem. Z drugiej jednak strony zarówno wujowie, jak i kuzyni, byli tak pewni siebie, że Haze, będąc samotny w tym pojedynku na argumenty, mógłby przy nich zginąć.

- A więc, gdzie się pobraliście? - spytał po chwili Carson, zresztą nie po raz pierwszy. Cm i Fairlie wymieniali zawsze znaczące spojrzenia, gdy rozmowa schodziła na temat jej ślubu, zupełnie jakby sądzili, że coś przed nimi ukrywa.

- A jak sądzicie, gdzie nasza Lorelei mogła wyjść za mąż? - wtrącił się Mark, który właśnie nadszedł. - W małym, szarym urzędzie, przed małym, szarym człowieczkiem, który wyrecytował kilka banalnych zdań. Idę o zakład, że ubrała się w jeden z tych kostiumów, które nosi w pracy. Mam rację, rybko?

- Owszem, masz rację - przyznała niechętnie.

Gdyby tylko reszta opisu się zgadzała... Lori nieraz wracała we wspomnieniach do owego dnia, w którym pachniały tuberozy, śpiewały ptaki, a całkiem obcy ludzie ściskali ją serdecznie.

Z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej, coraz częściej padały deszcze. Carson poprosił o zwolnienie z części obowiązków, ponieważ chciał wraz z dziećmi towarzyszyć Fairlie w jej wyjazdach na wystawy autorskie, więc jego stanowisko dyrektora Colossusa miało się zwolnić w ciągu

najbliższych miesięcy. Ritchie i Mark już rozpoczęli starania o tę posadę, ale Lori, która niegdyś oddałaby wszystko, by ją otrzymać, teraz straciła zainteresowanie tym stanowiskiem. Może dlatego, że po raz pierwszy od wielu lat miała prawdziwy, przytulny dom w Melbourne.

Upłynęły trzy miesiące od dnia jej ślubu z Haze'em, ale nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Nie zwrócił dokumentów, które wysłali prawnicy z Tate. Nie poinformował jej też o rozwodzie Justine, stąd przypuszczała, że nic się w tej kwestii nie zmieniło. Ciekawe, czy mimo to zamieszkali razem. Pewnie nigdy się tego nie dowie, ale może to i lepiej...

Takie ponure myśli chodziły Lori po głowie, gdy pewnego wietrznego i zimnego sierpniowego wieczoru robiła porządki w książkach Woody. Gałęzie drzewa migdałowego uderzały o dach, tak że ledwo usłyszała dzwonek do drzwi.

Na werandzie stała jakaś szczupła kobieta. Była blada, oczy miała podkrążone, ręce jej drżały.

- Witaj, Lori - powiedziała. To była Jackie, siostra Haze'a

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale nie znam nikogo więcej w Melbourne, a nie mogę ciągle brać Amandy ze sobą do szpitala. Bardzo źle to na nią wpływa, zaczęła znowu ssać kciuk, a nie robiła tego, odkąd skończyła dwa lata, w dodatku ma jeszcze zapalenie ucha, więc nie mogę jej zostawić z kimś obcym, a tak cię polubiła, więc... Amanda czeka w samochodzie - wyrzuciła z siebie Jackie. - A ja jestem w ciąży. To jest jedyna dobra wiadomość - dodała z bladym uśmiechem.

Szpital? Lori czuła, jak opanowują ją dawne lęki. Oszołomiona, włączyła światło na werandzie, podczas gdy Jackie poszła po córeczkę. Chwilę później przyniosła zapłakaną Amandę, która na widok Lori wyjęła kciuk z buzi i uśmiechnęła się.

- Ciociu Lori! - zawołała z radością.

Wzruszona tym powitaniem Lori ucałowała małą i wprowadziła gości do domu.

. - Co się stało? Czemu byłaś w szpitalu? Czy Haze... ? - spytała z niepokojem.

- Nie, nie, z Haze'em wszystko w porządku - pospieszyła z zapewnieniem Jackie. - Jest na Bliskim Wschodzie, z ekipą filmową. Wylatuje dziś wieczorem... Ale przecież ty to wszystko wiesz, po co ci to mówię...

Lori westchnęła z ulgą. Przez moment widziała oczyma wyobraźni Haze'a unieruchomionego w szpitalnym łóżku. Jak to dobrze, że nic mu się nie stało. Pozostawiając gości w salonie, poszła do kuchni, by przygotować herbatę dla Jackie oraz zagrzać mleko dla Amandy. Haze wylatuje dziś wieczorem. Ile może mu zająć podróż? Według jej wyliczeń powinien być na miejscu jutro rano. Na myśl o tym serce Lori zabiło mocniej.

Przytulne wnętrza domu Woody oraz ciepłe napoje sprawiły, że Jackie i jej córka odprężyły się, więc Lori mogła się wreszcie dowiedzieć, co takiego się wydarzyło. Jak się okazało Robert, mąż Jackie, miał wypadek w Melbourne podczas postoju samolotu i teraz przebywał na oddziale intensywnej terapii.

- Mają tam pokoje dla rodzin pacjentów, ale pragnęłam choć przez chwilę odpocząć od szpitalnej atmosfery - wyznała Jackie, spoglądając czule na Amandę, która już się rozpogodziła i w tej chwili oglądała jedną z książek Woody. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyszliśmy.

Naturalnie, że nie miała, ale nawet jeśli byłoby inaczej, nie dałaby tego po sobie poznać. Trudno było uwierzyć, że obecna Jackie to ta sama pogodna, energiczna kobieta, którą Lori widziała przed trzema miesiącami.

- Wiem, szpital to bardzo nieprzyjemne miejsce. Mam wolne pokoje, więc możecie obie u mnie zamieszkać, dopóki Robert nie wyzdrowieje - zaproponowała.

- Och, miałam nadzieję, że to powiesz - wyznała przez łzy Jackie. - Nie mogłabym mieszkać teraz w hotelu, jest taki bezosobowy ... W dodatku jestem dopiero w drugim miesiącu ciąży i męczą mnie poranne mdłości. Dziękuję, Lori. Jesteś aniołem. Wiedziałam to od początku.

- Głupstwa pleciesz - bąknęła Lori, zakłopotana słowami szwagierki. - Widziałyśmy się tylko raz i powiedziałam wtedy niewiele więcej niż „tak”.
- Ugryzła się w język. Nie powinna mówić takich rzeczy. Na szczęście jej słowa osiągnęły oczekiwany rezultat, bo wywołały uśmiech na twarzach gości.

Amanda przez pół nocy nie zmrużyła oka, ponieważ tak ją bolało ucho. Usnęła dopiero przed świtem, więc rano Jackie miotła się po domu, nie mając pojęcia, co powinna zrobić - pozostać ze śpiącą córką, czy udać się

do szpitala, do chorego męża. Kwestię tę rozwiązała Lori, proponując, że tego dnia zostanie w domu i zaopiekuje się małą.

- Masz tu mój numer telefonu - powiedziała, gdy szwagierka siedziała już za kierownicą wynajętego samochodu. - Zadzwoń, jeśli ma cię to uspokoić.

Może gdy Jackie zadzwoni ze szpitala, dowiem się, czy Haze już przyleciał, zastanawiała się. Czy uda mi się go zobaczyć? Myśl o ewentualnym spotkaniu tak ją poruszyła, że musiała po-przekładać dokumenty na biurku, zanim mogła wziąć się do pracy.

Po niedługim czasie zabrzączał telefon. To nie była Jackie, lecz sekretarka Lori z informacją, że jedno z umówionych wcześniej spotkań nie może być odwołane. Poza tym Mark zapowiedział, iż nie będzie w stanie przyjść na rozdanie nagród turnieju, sponsorowanego przez Tate Corporation, więc będzie musiała go zastąpić.

Lori nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Amanda niedawno wstała, rześka i radosna jak skowronek, a w tej chwili zajadała z apetytem płatki z mlekiem. Oznajmiła też cioci, że już ani trochę nie boli ją ucho.

- W takim razie, co powiesz na to, żebyśmy razem poszły do pracy? - zaproponowała Lori.

Pomysł ten bardzo się spodobał małej, ale gdy tylko znalazły się w wyłożonym marmurem holu biurowca Tate, znów zaczęła ssać kciuk.

- Czasem czuję się tu podobnie - pocieszyła ją Lori.

Gdy znalazły się na górze, przedstawiła swym zdumionym pracownikom małego gościa. Już sobie wyobrażam, co powiedzą, gdy zamkną się za nami drzwi, pomyślała z przekąsem. Pierwsze dziecko w dostojnych murach tego budynku. Niestety, nic nie mogła na to poradzić.

Około południa, odprowadziwszy klientów do windy, Lori odwróciła się na pięcie z westchnieniem ulgi i ruszyła korytarzem, by sprawdzić, co porabia Amanda. Jakiś kolorowy kształt na bladym marmurowym tle przyciągnął naraz jej uwagę. Przyjrząwszy się uważnie, stwierdziła, że są to plecy mężczyzny. W dodatku mężczyzny, który rzadko bywał w takich miejscach, ponieważ nikt, kto obraca się w świecie biznesu, nie odważyłby się ubrać w ten sposób. Zatrzymała się gwałtownie. Wylatuje dziś wieczorem... Popatrzyła ponownie na owego mężczyznę. Owszem, jego szerokie ramiona wydały jej się znajome, ale tył głowy miał wygolony na języka. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i czym prędzej poszła do swego gabinetu, by napić się kawy, bo nagle dziwnie zaschło jej w gardle.

Nie bądź niemądra, skarciła się w duchu. Haze z pewnością jest w tej chwili w szpitalu u boku swej siostry. Zdążyła wypić jeszcze łyk kawy, gdy wysoka, smukła postać pojawiła się w drzwiach jej gabinetu.

Ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w nią intensywnie, co przyprawiło ją niemal o palpację serca. Haze miał teraz włosy obcięte na jeża i zdawało się, że są krótsze od zarostu na jego policzkach. Ubrany był w nieśmiertelny ciemnozielony podkoszulek, który opinał szeroką klatkę piersiową.

Po chwili Lori dostrzegła, że patrzył na nią oskarżycielsko, nie potrafiła jednak odgadnąć przyczyny. Przecież dostał pieniądze na uregulowanie podatku, a jego szkoła stanęła wreszcie na nogi. Miał również wolną rękę, mógł więc kontynuować swój romans z Justine, czyż nie? Skoro wypełniła swe zobowiązania, czemu tak dziwnie jej się przyglądał?

- Czy to coś się jeszcze nie zużyło? - spytała w końcu, wskazując sfatygowany podkoszulek. - Przypuszczam, że warunki finansowe, jakie ci zapewniłam, pozwalają na zakup czegoś nowego. .. - Urwała, świadoma, że jednak posunęła się zbyt daleko.

Jego usta wykrzywił cyniczny uśmiech.

- Czyżbyś spodziewała się wdzięczności, Lori? Nie masz na co liczyć. Nie oddałaś mi żadnej przysługi, po prostu zapłaciłaś za to, że umożliwiłem ci zdobycie fortuny.

- Nie chciałam... - zaczęła, ale urwała, widząc, że Haze wchodzi do jej gabinetu i ogląda z zaciekawieniem wiszące na ścianach dyplomy oraz fotografie.

- Robią wrażenie - odezwał się w końcu. - A to kto? Twój chłopak? - spytał, wskazując na grupowe zdjęcie. - Myślałem, że nie masz czasu dla mężczyzn. Aczkolwiek jakiś jeden w zasięgu ręki może okazać się pomocny, gdy zapraszają cię na przyjęcie wraz z partnerem.

Fotografia, wykonana kilka lat wstecz, przedstawiała część kierownictwa Tate Corporation, a w samym centrum znajdowała się ona i jeden z kolegów.

- Ma na imię Carl - wyjaśniła, przyglądając się tyłowi głowy Haze'a. Tamte piękne, lśniące włosy zniknęły. Miała ochotę zaprotestować głośno przeciw temu.

Tymczasem on zdjął zdjęcie z haka i przyglądał mu się krytycznie. O ile Lori dobrze pamiętała, ów Carl prezentował się całkiem nieźle i stanowił dokładne przeciwieństwo Haze'a, przynajmniej jeśli chodzi o styl

ubierania się. Nigdy nie był jej chłopakiem, tyle że akurat na tym zdjęciu obejmował ją w talii. Jednak Haze nie musiał o tym wiedzieć.

- To jeden z tych, którzy przeżyli? - zagadnął obojętnie.

- Co takiego? - zdziwiła się. - Ach, już wiem, co masz na myśli. Owszem, przeżył. Na niego nie rzuciłam uroku.

Nic dziwnego, znali się tak słabo, iż nie mogła sobie przypomnieć nic na jego temat poza tym, że miał żonę i dwójkę dzieci.

- Elegancik - mruknął. - A w dodatku wygląda na naukowca.

- Carl był, to znaczy jest, bardzo kulturalnym człowiekiem - odparła ostrożnie.

- Odpowiedni typ dla ciebie, trochę sztywny i nudnawy. Czemu za niego nie wyszłaś?

Wyjęła mu fotografię z ręki i powiesiła na miejscu.

- Ponieważ miał już żonę. - Widząc jego pełne oburzenia spojrzenie, dodała: - A więc to tak? Ty możesz mieć romans z zamężną kobietą, ale jeśli ja spotykam się z żonatym mężczyzną, to jestem godna pogardy?

Pominięła przy tym drobny fakt, że nigdy nie miała romansu z żonatym mężczyzną i nie chciała go mieć. Po cóż więc tak zmyślała?

- Nie wiem, czemu uważasz, że Carl jest sztywny i nudny - ciągnęła. - Albo że moje życie może być nudne.

- Interpretuję pewne znaki - wyjaśnił. - Czy widziałaś kiedyś bardziej ponury gabinet? A twój ubiór?

- Mam pod dostatkiem pewnych siebie mężczyzn, którym się wydaje, że są upoważnieni do krytykowania mego wyglądu, więc oszczędź sobie tych uwag - odparła ostro. - Zdaje się, że nie przyszedłeś tu, żeby rozmawiać o moim stroju ani o Carlu, prawda?

Coś takiego, jeszcze ma czelność się uśmiechać, pomyślała z oburzeniem.

- Po prostu nie mogę nie dostrzec, że jestem jego dokładnym przeciwieństwem.

Powiedział to pełnym wyższości tonem, wynikającym z przekonania o swej przewadze nad innymi przedstawicielami męskiego rodu. Faktycznie, Carl nie miał przy nim żadnych szans. Był dużo niższy, gorzej zbudowany, a w dodatku łysiał. Lori nie pamiętała wprawdzie, czy go lubiła, ale poczuła się urażona w jego imieniu.

- Och, nie wątpię, że dałbyś mu radę w zapasach - zirytowała się. - Tylko że Carla nie interesują takie rzeczy, on jest mózgowcem, jak sam słusznie zauważyłeś.

Sugerowanie, że Haze jest tylko i wyłącznie górą mięśni, a rozumem nie grzeszy, było wyjątkowo niesprawiedliwe, ale Lori poczuła złośliwą radość; gdy zobaczyła, że trafiła tym stwierdzeniem w jego czuły punkt.

- Zastanawiałem się wiele razy, czemu na początku sprawiałaś wrażenie, jakbym ja... - Mówił powoli, wyraźnie, jakby myślał głośno. - Nie byłem za bardzo w twoim typie, miałem długie włosy, ale przecież wydawałem ci się interesujący...

- Wielkie nieba. - Lori przewróciła oczyma. - Czy istnieje na świecie mężczyzna, który nie uważa, że jest interesujący?

- Nie znałaś nikogo takiego jak ja - ciągnął, jakby nie słyszał, co przed chwilą powiedziała.

- Rzeczywiście - prychnęła. - Nigdy nie spotkałam faceta, który w jednej chwili rozłupuje nożem orzech kokosowy, a w drugiej zaprasza kobietę na kolację.

- Od samego początku byłaś mną zafascynowana. Ciągłe gapiałaś się na moje włosy, potem nie mogłaś oderwać wzroku od tatuażu...

- Twoja wyobraźnia jest równie żywa, jak kolory twej kurtki - odcięła się, rumieniąc się po same uszy.

Haze podszedł do niej blisko, po czym nie odrywając wzroku od jej twarzy, oparł dłonie na ścianie po obu stronach jej głowy.

- Przyznaj, kusila cię perspektywa przygody ze mną - wycedził przez zęby. - Byłem dla ciebie czymś nowym, nieznanym. ..

Lori wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Miała ogromną ochotę uderzyć go, żeby przestał wreszcie opowiadać takie rzeczy. Uniosła rękę, lecz on był szybszy. Chwycił ją za nadgarstek i przysunął się jeszcze bliżej, tak że całym ciałem przyciskał ją do ściany. Widać było, że z trudem panuje nad wściekłością.

- Ale w końcu stchórzyłaś. Poszłaś do swego hotelowego apartamentu i obmyśliłaś dla mnie inne zastosowanie.

- Nieprawda - zaprotestowała słabym głosem. Było jej gorąco, nie mogła oddychać, a w dodatku jego bliskość odbierała jej zdolność logicznego myślenia. - Mówisz tak, jakbym była okropną materialistką, a ja nie...

- Nie jesteś? - warknął. - To dlaczego przysłałaś mi tę cholerną intercyzę? Czyżbyś się obawiała, że wezmę z tobą rozwód i wniosę sprawę o alimenty?

- To nie ja - broniła się. - Mówiłam, że to nie jest konieczne, ale wuj Clark się uparł, by ją przygotować. Nawet nie wiedziałam, że ci ją posłał.

Haze przysunął się jeszcze bliżej.

- A może ja też mam coś do dodania do tej umowy, moja oddana żono? - uśmiechnął się cynicznie. - Bądź co bądź muszę bronić swych praw, czyż nie? A co będzie, jeśli w pewnym momencie usłyszysz tykanie zegara biologicznego i zechcesz mieć dziecko? Oświadczam ci, że tego typu usługi wymagają dopłaty.

Lori krzyknęła z wściekłości i oburzenia, po czym kopnęła Haze'a z całej siły w kostkę.

- Auu... Do diabła! - ryknął, zaciskając z bólu oczy.

- Mam nadzieję, że cię to dobrze zabolalo, ty podły draniu. Nie obawiaj się, jeśli mój zegar biologiczny zacznie tykać, na pewno nie zgłoszę się do ciebie po twoje... twoje... - Urwała, nie wiedząc, jak to nazwać.

- Moje usługi? - podsunął, otwierając jedno oko.

Lori zarumieniła się, ponieważ nieposłuszna wyobraźnia podsunęła jej obraz, oddający ze szczegółami naturę tych usług.

- Przepraszam cię, ale mam dużo pracy - powiedziała w końcu, próbując wyrzucić przed oczu ów realistyczny obraz.

Spokój, powtarzała sobie w duchu. Spo - wdech - kój - wydech. Zawsze się tak relaksowała, tylko jakoś tym razem nie pomagało.

Haze nie odsunął się od niej ani na milimetr, ale z zainteresowaniem obserwował jej wysiłki, mające na celu jako takie uspokojenie się.

- Proszę, proszę, z pełnej pasji kobiety przeistaczasz się w zimnego robota i to na moich oczach - skomentował z drwiną w głosie.

- Wam, mężczyznom, nie sposób dogodzić - nastroszyła się. - Jeśli wkładam ładną sukienkę, jestem nieprofesjonalna, a nawet prowokująca, jeśli kostium, nazywacie mnie agresywną i niekobiecą. Gdy tracę opanowanie w biurze, jestem nadpobudliwa i niedojrzała, a kiedy jestem opanowana, wtedy mówicie, że przypominam robota. Moglibyście wreszcie wy dorosnąć!

Nie mogąc już dłużej znieść jego bliskości, spróbowała wydostać się z jego ramion, ale bez skutku. W jej oczach zalśniły łzy.

Haze popatrzył ze zdumieniem na jej drżące usta.

- Lauro, kochanie - szepnął, głaszcząc ją czule po policzku.

- Nie nazywaj mnie Laurą - mruknęła, odwracając głowę. Nie nazywaj mnie kochaniem, dodała w myślach.

Pogładził ją w milczeniu po włosach, potem przesunął palcem po jej dolnej wardze, aż w końcu pochylił głowę i dożył na jej ustach czuły, tkliwy pocałunek.

Lori była oszołomiona tą niewinną pieśzczotą. Trzęsa się na całym ciele, wczepiona rękoma w poły jego kurtki. Gdy przytulił ją mocno do siebie, oplótła go ramionami i poszukała jego ust. Tym razem ich pocałunek nie był niewinny. Stanowił raczej gorączkowe wyznanie nagromadzonej od tygodni tęsknoty, przemożnego pragnienia stopienia się w jedną całość... Lori poczuła, jak ogarnia ją słodka słabość.

- Pani Tate, och! - ktoś urwał skonsternowany.

Haze powoli podniósł głowę. Na progu stała jedna z asystentek Lori.

- Najmocniej przepraszam, ale drzwi były otwarte i... - tłumaczyła się niepewnie.

- Nic nie szkodzi - odparł Haze spokojnie, nie wypuszczając Lori z objęć. - Przyszedłem tylko przywitać się z żoną. Nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu.

Asystentka wyszła, wprost pękając od sensacyjnej wiadomości. A więc wreszcie mogli zobaczyć tego enigmatycznego męża pani dyrektor. Za godzinę wszystkie urzędniczki będą rozmawiać tylko o nim, o tym wysokim, przystojnym i seksownym facecie, który został, nie wiedzieć czemu, mężem Lorelei Tate.

Tymczasem Lori, uwolniona wreszcie z objęć Haze'a, jęknęła z rozpaczy. Przez tyle lat broniła swej prywatności, by zostać przyłapaną w niedwuznacznej sytuacji z... własnym mężem.

- Musiałeś to powiedzieć? - warknęła. - Teraz w całym budynku nie będą mówić o niczym innym.

- A co, wolałabyś, aby opowiadali, że w swoim własnym gabinecie uwodziłaś mężczyznę, który nie jest twoim mężem?

- To nie ja ciebie uwodziłam, lecz ty mnie - sprostowała gniewnym głosem.

- Nie doceniasz swych możliwości, kochanie. Gdyby nam nie przeszkadzono, znaleźlibyśmy się na kanapie...

Lori postanowiła zignorować jego ostatnią uwagę, zwłaszcza że sama była zaskoczona swym zachowaniem. Po kilku chwilach nabrała powietrza w płuca i podeszła do Haze'a.

- Posłuchaj, naprawdę jestem zajęta - odezwała się. - Powiedz mi, po co przyszedłeś?

- Po Amandę - padła lakoniczna odpowiedź.

Lori popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, zastanawiając się, jak mogła choć przez moment przypuszczać, że chodziło mu o coś innego.

- Pamiętasz ją jeszcze? - spytał ironicznie, widząc jej zażenowaną minę.

- To moja siostrzenica, mała rudowłosa dziewczynka, którą miałaś się opiekować.

Posłała mu wściekłe spojrzenie. To raczej on zapomniał o swej siostrzenicy, bo nie wspomniał o niej ani słowem, odkąd zjawił się w biurze.-

- Jackie sądzi, że jej córka znajduje się w dobrych rękach, mile spędzając czas w twoim domu - ciągnął oskarżycielskim tonem. - Dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie odbierał telefonu, więc pomyślałem, że nie mogłaś wytrzymać jednego dnia bez pracy. A więc, gdzie zajętą pani dyrektor ulokowała moją siostrzenicę?

Lori bez słowa wyjaśnienia wyszła na korytarz, a Haze podążył za nią.

- Mogłaś przynajmniej odwieźć ją do matki do szpitala, a nie zostawiać u obcych ludzi - syknął, chwytając ją za ramię na oczach kilkorga zdumionych pracowników. - Nawet nie wiesz, przez co ona i Jackie przechodzą. Jeśli sprawiłaś jej tym ból, to... - Nie dokończył, ale Lori widziała, że tym razem nie żartował. Naprawdę obchodziło go to, co się dzieje z jego siostrzenicą.

- Czy Robert czuje się dziś lepiej? - spytała, chcąc zmienić temat.

- Nie gorzej, a to już coś.

- Dla twojej wiadomości, wiem, co one obie przeżywają. Byłam trochę starsza od Amandy, gdy moja mama poszła do szpitala i aż za dobrze pamiętam, jakie... - Głos załamał jej się na chwilę. - Jakie to było straszne.

Doszli do końca korytarza, gdzie znajdowały się ogromne drewniane drzwi, ozdobione misternie wyrzeźbionym znakiem firmowym Tate.

- Tu właśnie ulokowałam twoją siostrzenicę - oznajmiła chłodno.

Otwierając drzwi, zastanawiała się, czy aby Amanda nie płacze z bólu i tęsknoty za mamą. Ja się okazało, niepotrzebnie się martwiła. Dziewuszka była całkowicie pochłonięta zabawą, w której uczestniczyła Mary

Crombie, kierowniczka administracyjna firmy. Na eleganckim czerwonym dywanie widniały ślady niedawnego przejazdu plastikowej ciężarówki, zaparkowanej teraz w rogu pomieszczenia Haze spojrzał ze zdumieniem na duży mahoniowy stół, na którym leżało mnóstwo pomazanych kartek papieru, kolorowych flamastrów, a także stał karton mleka i talerzyk z herbatnikami. Lalka Amandy, Becky, siedziała za stołem na miejscu wuja Clarka, jak zauważyła Lori. Uśmiechnęła się na ten widok, przypominając sobie, jak to bezskutecznie usiłowała umieścić jeszcze jedną kobietę w radzie nadzorczej. Może to był jakiś znak?

- Sala posiedzeń zarządu? - odezwał się w końcu Haze, spoglądając z niedowierzaniem na Lori. - Czy przyprowadzenie ze sobą do pracy dziecka to dobre posunięcie, pani Tate?

Nawet teraz, gdy widział, że starała się jak najlepiej zaopiekować Amandą, nie szczędził jej cynicznych uwag.

- Jakoś dam sobie z tym radę - odparła. - Ale teraz, skoro już tu jesteś, zajmij się małą, naprawdę jestem bardzo zajęta.

Na nic jednak zdała się jej pełna chłodu postawa, gdy Amanda, ujrawszy wujka i ciocię, podbiegła do nich i z radością zaczęła opowiadać Haze'owi o tym, co tego dnia robiła.

- Och, wujku - zawołała z przejęciem. - Ciocia Lori pozwoliła mi obejrzeć swój gabinet. Wiesz, ona ma aż trzy telefony. I pozwoliła mi telefonować i przyciskać wszystkie guziki.

- Naprawdę, kochanie? - wymruczał jej do ucha, zerkając przy tym na Lori.

- I powiedziała też, że my, to znaczy ja i ciocia, jesteśmy jedynymi dziewczynkami, które mogą siedzieć przy tym stole i się nudzić. Tylko, że ja się nie nudziłam. Razem z Mary zrobiłyśmy coś dla cioci... - Wyśliznęła się zwinnie z jego objęć i pobiegła do stołu, by omówić jakąś ważną kwestię z Mary.

Haze uśmiechnął się tak ciepło, że Lori aż oniemiała z wrażenia. Zapomniała już, jak olśniewający potrafi być jego uśmiech.

- Ty i to twoje dziwne poczucie humoru - odezwał się, nie spuszczać z niej wzroku. - Co by na to powiedzieli wujowie?

- Ze to profanacja - odparła, wzruszając ramionami. - Prawie tak wielka, jak ciężarna kobieta w zarządzie.

- Ciężarna kobieta? - powtórzył, wpatrując się w nią intensywnie.

- To był jeden z argumentów, jaki wysunęli przeciwko popieranej przeze mnie kandydatce. Twierdzili, że kobieta w każdej chwili może zdecydować się na dziecko, więc oni pierwsi muszą zdecydować, czy mogą narażać się na taki szokujący widok. Wybrali oczywiście mężczyznę.

Na twarzy Haze'a odmalowała się wyraźna ulga. Lori mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jakie byłyby jego dzieci. Twarde i niezależne, a zarazem uczuciowe... Ciekawe, czy Justine zdecydowałaby się na jeszcze jedno dziecko, tym razem z Haze'em w roli ojca? Ta myśl przywołała ją do porządku. Mało brakowało, a zupełnie zapomniałaby o istnieniu jego rudowłosej przyjaciółki.

Amanda właśnie skończyła naradę z Mary i podbiegła do nich, niosąc w rączkach coś lśniącego.

- To dla ciebie, ciociu Lori. To jest naszyjnik. Wykonany był z błyszczących spinaczy do papieru, połączonych paseczkami wzorzystej taśmy klejącej.

Lori kucnęła, tak by mała mogła sama założyć jej naszyjnik. Turkusowe i amarantowe spinacze wyraźnie kontrastowały z dostojną szarością jej kostiumu.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała Lori, wzruszona tym podarunkiem. - A teraz weź swą lalkę, bo wujek przyjechał, by zabrać, cię do mamusi i tatusia.

Amanda natychmiast włożyła kciuk do buzi. Poszła po lalkę, ucałowała Mary na pożegnanie i posłusznie stanęła przed Haze'em. Nawet gdy już znajdowała się u niego na rękach, na jej twarzyczce malował się smutek i obawa.

- Czy mój tatuś umrze? - spytała w końcu.

Słyszając te słowa, Lori poczuła silny ucisk w sercu. Haze przytulił małą i szeptał jej do ucha słowa pocieszenia, ale ona wciąż domagała się obietnicy, której nie mógł dać.

- Czy będziesz nosić dziś naszyjnik ode mnie, ciociu Lori? - zapytała drżącym głosem - - Obiecuj, że będziesz go nosić przez cały dzień.

Lori wahała się przez chwilę.

- Obiecuję, Amando - powiedziała w końcu, ujmując rączkę dziewczynki.

- I nie zdejmiesz go ani razu?

- Nie, dopiero, gdy będę brała prysznic wieczorem.

Amanda uśmiechnęła się, jakby jej mały świat stał się odrobinę bezpieczniejszy przez to, że dorosła osoba złożyła jej solenną obietnicę.

Haze kiwnął głową na pożegnanie i posłał Lori spojrzenie, które jednocześnie wyrażało wdzięczność, że poważnie potraktowała prośbę jego siostrzenicy, a także powątpiewanie, że naprawdę zamierza dotrzymać obietnicy.

Lori powędrowała z powrotem do swego gabinetu, wpatrzona w oddalające się plecy Haze'a. Nigdy nie spodziewała się, że ujrzy go w takim miejscu. Prawdę mówiąc, obawiała się, że w ogóle już go nie zobaczy. Teraz, gdy już wyszedł, czuła się bardzo dziwnie. Po pierwsze, drżały jej ręce, ale z pewnością tylko dlatego, że przypomniła sobie to, co przeżyła jako dziecko. Po drugie, chciało jej się śmiać i płakać jednocześnie. Jej serce biło jak szalone w oczekiwaniu na... Właśnie, na co? Nie miała pojęcia, ale czuła się z tą niewiedzą nadspodziewanie dobrze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tego dnia, po raz pierwszy od wielu lat Lori wróciła wcześniej do domu. Tuż po uroczystości wręczenia nagród turnieju, zamiast udać się z powrotem do biura, pojechała do siebie, zastanawiając się przez całą drogę, czy Haze, Jackie i Amanda już są. Nie była pewna, czy podoba jej się perspektywa ujrzenia Haze'a, siedzącego w jej ulubionym fotelu bądź zagląającego do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Z drugiej strony, nie mogła go przecież wyrzucić, bo Jackie i Amanda również by odeszły, a tego stanowczo nie chciała.

Zastała dom pusty. Przebrawszy się, przygotowała sobie filiżankę mocnej herbaty i zabrała się za obsesyjne porządkowanie półek ze skarbami Woody oraz swymi ukochanymi ozdobnymi buteleczkami. Zdaniem psychologów ludzie, którzy oddają się tej czynności, pragną odzyskać kontrolę nad swym życiem. Ustawianie ulubionych przedmiotów symbolizuje chęć uporządkowania kontaktów z innymi albo swych uczuć. Na przykład całkiem bezsensownych uczuć, które do niczego nie prowadzą...

Postanowiwszy porzucić tę jałową czynność, Lori udała się do łazienki, by wziąć prysznic. Ożywczy strumień letniej wody nieco poprawił jej samopoczucie. Ubrana w kwiecisty jedwabny szlafrok wyszła do przedpokoju, w którym majaczył jakiś ciemny kształt. Krzyknęła z przerażenia i chcąc wycofać się do łazienki, pośliznęła się i upadła na podłogę.

- To tylko ja - odezwał się Haze, wyciągając do niej rękę, by mogła wstać.

- Chyba zwariowałaś - zawyrokowała Lori, kładąc rękę na piersi, tam gdzie jej serce tłukło się jak oszałałe. - Chodzisz po ciemku jak jakiś Kuba Rozpruwacz.

- Nie bój się, nie jestem uzbrojony - zapewnił ją żartobliwym tonem. Po chwili namysłu pochylił się i, z niejaką trudnością, wziął ją na ręce.

- Ależ nic mi nie jest - zaprotestowała. - Po prostu wystraszyłam się. Nie mogłeś zapukać?

- Miałem właśnie to zrobić, ale otworzyłaś drzwi. Gdzie jest sypialnia?

Serce Lori dla odmiany zamarło na moment.

- Przecież mówiłam, że nic mi nie jest. Postaw mnie natychmiast - zażądała.

- Czyżby twoja niezależność miała doznać uszczerbku przez to, że cię zaniósę? - zakpił.

Jaka tam niezależność, pomyślała. Chodziło jej o to, by przez cieniutki materiał szlafroka nie poczuł szalonego bicia jej serca. Haze zachwiał się lekko.

- Proszę, postaw mnie, bo w końcu wyląduję na podłodze. Na filmach, kiedy bohater bierze kobietę na ręce, nie widać po nim najmniejszego wysiłku, a ty jesteś czerwony jak burak i chwiejesz się.

Podrzucił ją lekko, żeby było mu wygodniej ją trzymać.

- Jeśli nie zauważyłaś, to informuję cię, że niosę również plecak, a ty nie jesteś piórkiem - odciął się.

Postąpił krok do przodu, a wtedy stopa Lori zahaczyła o klamkę drzwi do łazienki i coś spadło z delikatnym brzękiem na podłogę. Haze zerknął w dół i spostrzegł naszyjnik wykonany przez jego siostrzenicę.

- Ty to masz głowę do szczegółów - stwierdził z ironicznym uśmiechem.

- Kiedy Amanda tu wejdzie i zobaczy swój prezent, będzie przekonana, że faktycznie nosiłaś go przez cały dzień.

- Puszczaj! - syknęła zniecierpliwiona. - Nie musisz popisywać się przede mną siłą swych mięśni.

- Którędy do twojej sypialni, w lewo czy w prawo? - ponowił pytanie, a z tonu jego głosu wynikało, że on również nie ma ochoty na żarty.

- Och, na litość boską, w prawo - warknęła.

Chwilę później w korytarzu pojawiła się Amanda, a za nią Jackie, która, widząc Lori w ramionach brata, złapała córeczkę za rękę.

- Choć, Amando, nie będziemy im przeszkadzać. - Mrugnęła porozumiewawczo do Haze'a. - Wujek nie widział się z cicią prawie tydzień.

Haze wniósł Lori do sypialni, po czym zamknąwszy drzwi lekkim kopniakiem, rzucił ją na łóżko. Przyglądała się, jak z wyraźną ulgą zdjął plecak i rozejrzał się z zaciekawieniem po pokoju. Szczególnie zainteresowały go wiszące nad biurkiem zdjęcia Lori, przekraczającej mety maratonów w Londynie, Bostonie, Tokio i innych miejscach. W jego ciemnoniebieskich oczach dostrzegła nawet błysk podziwu.

- Nie widziałeś mnie od tygodnia? - zapytała z niedowierzaniem. - Co Jackie miała na myśli?

Haze udawał, że nie usłyszał jej pytania. Przyglądał się dwóm zdjęciom stojącym na biurku w ozdobnej ramce.

- Czy to twoi rodzice?

Skinęła głową. Podniosła się z łóżka i stanęła koło biurka.

- Jesteś podobna do swojej mamy - zdecydował po namyśle. - ile miałaś lat, kiedy...

- Dziewięć. Jakiś wirus zaatakował mięsień serca, więc zrobiono jej transplantację. Żyła jeszcze przez rok, ale już nigdy nie wydobrzała. Ciągle była w szpitalu.

- Więc naprawdę rozumiesz, jak się czują Jackie i Amanda

- przyznał. - Przepraszam, że cię oskarżyłem o nieczułość.

- Tak, rozumiem to doskonale - westchnęła. - Codzienne wizyty w szpitalu, aż do momentu... - urwała.

Haze patrzył na nią z uwagą. Nie ponaglał jej zbędnymi pytaniami, po prostu czekał, aż będzie gotowa mówić dalej.

- Widzisz, ja nie miałam pojęcia, że mama umarła. Wmówiłam sobie, że to niemożliwe, bo tato obiecał, że nic jej się nie stanie. Nie dotarła do nas ta wiadomość, poszliśmy po prostu w odwiedzinach do mamy. Ja pobiegłam pierwsza i zobaczyłam, że jej łóżko jest puste. Sądziłam, iż przenieśli ją do innej sali, więc postanowiłam jej poszukać.

- Miałaś wtedy dziewięć lat? To musiało być dla ciebie straszne przeżycie... A co się działo z twoim bratem?

- Uczył się w szkole z internatem, więc nie było go w domu - odparła, wpatrując się pustym wzrokiem w fotografie. - Biedny tato, najpierw powiedziano mu, że jego żona nie żyje, a potem przez kilka godzin nie mógł odnaleźć córki.

- Kilka godzin?

- Przeszukanie budynku szpitalnego jednak zajmuje trochę czasu - wyjaśniła i wyjęła mu z dłoni ramkę. - Dlatego nie przepadam za szpitalami.

Odstawiwszy fotografie skrupulatnie na miejsce, zaczęła przesuwać leżące na biurku przedmioty, tak by leżały w idealnym porządku. Poczuvszy na sobie spojrzenie Haze'a, odwróciła się.

- Lubię mieć porządek na biurku - wyjaśniła.

- Tak, tak - mruknął. - Zwłaszcza że nie wypada, byś w tym wieku ssała kciuk.

Żachnęła się, słysząc tę amatorską próbę analizy psychologicznej, tak zaskakująco bliską prawdy. Haze tymczasem usiadł na łóżku i zaczął

zdejmować buty. Ta na pozór niewinna czynność doprowadziła Lori do wściekłości.

- Nie wolno ci zdejmować tu butów - zaprotestowała ostro.

- To jest moja sypialnia. Idź sobie, no już. - Chciała go zepchnąć z łóżka, ale równie dobrze mogłaby się zabrać za przesuwanie Mont Everestu.

- Lori, proszę cię, jestem okropnie zmęczony - westchnął.

- Chciałbym się trochę przespać, leciałem całą noc i nie mogłem zasnąć w samolocie.

- Ale nie możesz przecież spać tutaj. Zadzwoń zaraz do hotelu i zarezerwuj ci pokój - zdecydowała.

Haze rzucił się na łóżko z westchnieniem ulgi.

- Nie mogę pójść do hotelu - wymruczał. - Jackie pomyślałaby, że my... hmm. Jestem zbyt zmęczony, żeby jechać teraz do hotelu.

- Co Jackie pomyślałaby o nas? - spytała zdziwiona Lori. Nagle dotarło do niej, że Jackie nic nie wiedziała o tym, iż małżeństwo brata jest fikcją. Świadczyły o tym chociażby słowa, jakie wypowiedziała, widząc, że Haze niesie Lori do sypialni.

- Nie powiesz mi chyba, że twoja rodzina jeszcze o niczym nie wie! - wykrzyknęła wzburzona.

Haze, nie otwierając nawet oczu, machnął ręką na znak, że porozmawiają o tym później.

- O, nie! Jeśli myślisz, że mnie tym zbędziesz, to się grubo mylisz. - Lori uklękła na łóżku i poczęła szarpać Haze'a za ramię, tak że w końcu musiał się przekręcić na bok. - Czy Jackie sądzi, że mieszkasz tu ze mną?

- Tak, ale nie na stałe - westchnął z rezygnacją i otworzył oczy. - Tylko w weekendy i wtedy, gdy nasze wyjazdy nie pokrywają się ze sobą. Nie przejmuj się tym.

- Mam się nie przejmować? - prychnęła. - Już mnie gryzie sumienie z powodu tego romantycznego ślubu, dlatego nie zamierzam brać udziału w dalszym oszustwie. Co ty sobie w ogóle myślisz?

Haze uśmiechnął się sennie i pieszczotliwie pogładził ją po włosach. W jego oczach pojawiły się namiętne iskierki.

- W tej chwili? Zgadnij - szepnął.

Jak to dobrze, że właśnie klęczała, bo nagle zrobiło jej się dziwnie słabo...

- Czemu im jeszcze nie powiedziałeś prawdy? - spytała zdławionym głosem.

- Może dlatego, że sam chciałbym wierzyć, że to się działo naprawdę?

- Nie żartuj sobie, Haze. - Pochyliła się nad nim, gdyż jego zachowanie wskazywało na to, że faktycznie zamierzał spać w jej łóżku. - Żądam, abyś zszedł z mego łóżka i natychmiast powiedział siostrze, że nie jesteśmy małżeństwem. To znaczy, jesteśmy, ale na niby. Haze, słyszysz?

Ponownie zmusiła go swym szarpaniem do otwarcia oczu. Podniósł rękę i rozsunął poły szlafroka Lori.

- Cudownie pachniesz - wymruczał, otwarcie przyglądając się jej piersiom. Niespodziewanie podniósł głowę i począł je całować delikatnie, jakby delektował się ich smakiem. Lori zadrżała na całym ciele pod wpływem tej wyrafinowanej pieszczoty. - Smakujesz równie cudownie.

Zerwała się na równe nogi i szczelnie otuliła szlafrokiem. Aby odzyskać poczucie własnej godności, wzięła się za czyszczenie żakietu, po czym otworzyła szafę, by odwiesić go na miejsce. Gdy się odwróciła, Haze wciąż leżał na łóżku, śmiejąc się z jej zażenowania, jednak spoważniał, kiedy tylko znalazła się przy drzwiach;

- Lori, proszę, nie mów na razie nic Jackie. Wyjaśnię to później, dobrze?

Nie odezawszy się ani słowem, wyszła do przedpokoju i zamknęła za sobą drzwi. Wciąż czuła się dziwnie słabo, raz po raz przechodziły ją fale gorąca. Ależ on ma tupet, pomyślała z oburzeniem, tak wykorzystywać sytuację. Pokręciła głową i powędrowała do łazienki, by podnieść się na duchu robieniem porządków. „Może dlatego, że sam chciałbym uwierzyć...” Czy to w ogóle możliwe, by chciał, aby ich małżeństwo było prawdziwe? Czemu miałby tego pragnąć, skoro zależało mu na Justine? Nic z tego nie rozumiem, pomyślała, ustawiając stojące na parapecie doniczki z fiołkami afrykańskimi. Dlaczego nie umiem mu się oprzeć? Wystarczy, że jest w pobliżu, a już mam nogi jak z waty.

Z głębokim westchnieniem porozwieszała mokre ręczniki i udała się do salonu, na wypadek, gdyby Jackie zaczęła już podejrzewać, że w sypialni odbywa się właśnie namiętne powitanie. Na jej widok szwagierka zrobiła zdumioną minę, więc Lori szybko zapytała o stan zdrowia Roberta.

- Och, czuje się już znacznie lepiej - odparła Jackie, uśmiechając się radośnie. - Jeśli mu się nie pogorszy w ciągu najbliższych dwunastu godzin, zostanie przeniesiony na inny oddział.

Gdy Jackie zagłębiła się w szczegóły natury medycznej, myśli Lori powędrowały ku sypialni, w której spał sobie smacznie... jej mąż.

Godzinę później, kiedy Lori i Jackie popijały kawę, do kuchni wszedł zaspany Haze.

- Czy dostanę trochę kawy, Lauro, kochanie? - spytał przymilnym głosem, posyłając Lori znaczące spojrzenie, na wypadek, gdyby zapomniała, że Jackie wciąż uważa ich za parę.

- Zrób sobie, wiesz przecież, gdzie wszystko leży, kochanie - odparła ze słodziutkim uśmiechem.

Rzecz jasna nie wiedział, więc ze złośliwą przyjemnością przyglądała się jego dyskretnym próbom odkrycia szafki z filiżankami. Jackie, która niczego nie zauważyła, opuściła ich pod pretekstem sprawdzenia, co porabia jej córka.

- Filiżanki na lewo, kawa na prawo - poinformowała Lori, gdy szwagierka wyszła. - Nie zamierzam dłużej ciągnąć tej farsy, więc lepiej powiedz swej rodzinie całą prawdę.

- Nie sądzisz, że to nie najlepszy moment na takie rewelacje? - odparł sucho. - Poczekajmy, aż Roberta przeniosą z intensywnej terapii.

Przygotowawszy sobie kawę, usiadł przy stole naprzeciw Lori i zaczął się rozglądać po staroświeckiej kuchni.

- Albo masz kopalnię złote w piwnicy, albo będę musiał zmienić zdanie co do ciebie - oznajmił po chwili milczenia

- Czyżbyś spodziewał się ogromnej posiadłości, pełnej piaskowca i marmuru? - spytała z przekąsem.

- Coś w tym stylu - przyznał, uśmiechając się wstydliwie.

- Wyszedłem z założenia, że twoja matka chrzestna musiała być majątną kobietą.

- Tęte'owie, owszem, zawsze byli bogaci, ale Woody to przyjaciółka mojej mamy. Nie była biedna ani też szczególnie majątna.

- Powiedz mi w takim razie, czemu taka ambitna i niezależna kobieta jak ty zdecydowała się wbrew swym zasadom wyjść za mąż, aby odzyskać taki skromny dom?

- Może istotnie w piwnicy znajduje się kopalnia złota - zakpiła.

- Dlaczego? - nalegał, patrząc na nią ciepło.

- Może to dla mnie coś nowego, może znudziły mi się już marmury i szkło, więc potrzebowałam czegoś zgrzebnego?

Haze zamrugał oczyma, ale nie dał się zbić z tropu.

- Dlaczego? - powtórzył cierpliwie.

- Ponieważ to było jedyne miejsce, w którym czułam się jak w domu - wyjaśniła, pełna podziwu dla jego zdecydowania. - Po śmierci mamy Woody była moją powiernicą, mentorką, moją... - Jej głos niebezpiecznie zadrżał. - Moją drugą matką. Podtrzymywała mnie na duchu, kiedy wątpiłam, że jestem w stanie osiągnąć to, co zdobył mój brat. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nie byłabym tym, kim jestem teraz. Dlatego...

- Dlatego co? - zachęcił ją.

On naprawdę jest zainteresowany tym, co mam do powiedzenia, stwierdziła zaskoczona. A co ciekawsze, ja naprawdę chcę mu o tym opowiedzieć.

- Dlatego nie mogę zrozumieć, czemu postawiła taki warunek w testamencie - ciągnęła. - Przecież sama nigdy nie wyszła za mąż. Zajmowała się projektowaniem ogrodów, miała swoją własną firmę...

- Mogłaś przecież jakoś obejść ten warunek.

- O nie, to było życzenie Woody, a nie powinno się kwestionować życzeń kogoś, kto już nie żyje. To by się równało zdradzie. Chciałabym po prostu zrozumieć, czemu to zrobiła.

- Nie zostawiła ci żadnego wyjaśnienia?

- Nie. - Lori pokręciła przecząco głową. - Przeszukałam wszystkie szuflady, przejrzałam papiery, na próżno.

- Może Woody sądziła, że małżeństwo dobrze ci zrobi - podsunął z żartobliwym uśmiechem na ustach.

- Mówisz, jakbym była zgorzkniałą starą panną - zachnęła się Lori. - Skoro już wiesz, że mam mały dom, nie powinieneś się dziwić, że nie mam cię gdzie przenocować. Nie sądzę, żeby stanowiło to jakiś problem dla ciebie, eksperta w dziedzinie sztuki przetrwania.

- Mam ze sobą śpiwór, więc mogę się położyć byle gdzie - zgodził się. - Na przykład na podłodze w twojej sypialni.

- Wybierz to sobie z głowy - odparła stanowczo.

Jeszcze tego brakowało. Przecież nie zmrużyłaby oka, gdyby spał w tym samym pokoju, zwłaszcza że z podłogi na łóżko jest tak niedaleko. Podobnie zresztą, jak z łóżka na podłogę...

- Możesz się położyć na sofie w salonie - zaproponowała wielkodusznie.

- Żeby Jackie pomyślała, że nasze małżeństwo przechodzi kryzys? Zanim byś się zorientowała, już byłaby tu moja mama z misją pojednawczą. Uwierz mi, nie spodobałoby ci się to.

- Ależ, Haze, to jest żałosne. Obydwoje wypełniliśmy nasze zobowiązania, więc równie dobrze możemy już wziąć rozwód.

- Bądź rozsądna - westchnął ciężko. - Przecież nie mogę zaskoczyć ich wiadomością o rozwodzie, podczas gdy oni są ciągle przekonani, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Chciałabym, żebyś wreszcie podszedł to tej sprawy poważnie.

- Obiecuję, że porozmawiam z nimi, gdy Robert poczuje się lepiej - zapewnił. - Oczywiście, jeśli chcesz, możesz teraz porozmawiać z Jackie. Na pewno się wyprowadzi do hotelu wraz ze swymi porannymi mdłościami i obolałą Amandą.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparta spokojnie. - Jestem pewna, że Jackie uważa mnie za przyjaciółkę.

- Raczej za członka rodziny - poprawił ją Haze. - Będzie się czuła niezręcznie, gdy dowie się prawdy.

- Manipulujesz mną bez mrugnięcia okiem - westchnęła z rezygnacją.

- Owszem - przytaknął skwapliwie. - Gram na twoich uczuciach.

- Nie podejrzewałam cię o to, że wiesz, iż posiadam jakiegokolwiek uczucia - odparowała.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, o które mnie nie podejrzewałaś, Lauro, kochanie.

Lori nie miała pojęcia, gdzie spał tej nocy, ale na pewno nie w jej sypialni. Ku swemu zniecierpliwieniu odkryła, że jego nieobecność jest równie denerwująca, jak i obecność. Nie było go również w domu, o czym się przekonała, gdy około pierwszej w nocy wyszła sprawdzić wszystkie pomieszczenia, włącznie ze spiżarnią oraz większymi szafkami. W końcu zaczęła się o niego martwić, więc już całkiem nie mogła zasnąć.

Gdy rano weszła do kuchni, ujrzała rześkiego i wypoczętego Haze'a, siedzącego za szerokim stołem. Przed nim leżała gazeta, kilka kartek notatek oraz tomik poezji, obok stał talerz, który nosił jeszcze ślady znajdującego się na nim niedawno śniadania.

- Pożyczyłem sobie książkę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - oznajmił na powitanie.

Machnęła ręką na znak, że wszystko jej jedno.

- Znalazłem w niej stary rachunek z gazowni - poinformował, ale Lori nie zainteresowała się tym zbyt. -

Odsunęła książkę i jego notatki, chcąc uporządkować swoje ulubione miejsce przy stole. Drażniło ją to, że pojawił się w jej małym,

uporządkowanym domku i zajął tyle miejsca. Jego buty leżały na podłodze koło jej łóżka, kurtka wisiała na oparciu jej krzesła, a notatki leżały rozrzucone na kuchennym stole. Wszystko to sprawiło, że nie była tego dnia zbyt przyjaźnie nastawiona do świata.

- Mam nadzieję, że nie rozwiązałeś mojej krzyżówki - mruknęła pod nosem.

Podsunał jej gazetę złożoną tak, by nie tknięta krzyżówka znalazła się ostentacyjnie na wierzchu.

- Jak widzę, nie jesteś rannym ptaszkiem, Lauro, kochanie. - Uśmiechnął się promiennie.

- Dlaczego wszyscy, którzy lubią rano wstawać, zachowują się tak protekcjonalnie w stosunku do reszty świata? - zirytowała się. - A propos, gdzie spałeś dziś w nocy? - zapytała oskarżycielskim tonem, jakby miejsce noclegu było odpowiedzialne za jego doskonały poranny humor.

- W szopie w twoim ogrodzie - wyjaśnił.

- W szopie?! - wykrzyknęła, zerkając przez okno. - Przecież tam leży worek z kurzym nawozem, a poza tym ściany są tak nieuszczelne, że można zmarznąć na kość.

- Rzeczywiście, coś dziwnie pachniało - przyznał. - Ale w porównaniu z wieloma miejscami, w których musiałem spać, było całkiem przytulnie.

Najwyraźniej zdążył się już wykapać, gdyż nie przyniósł ze sobą niemiłej woni kurzego nawozu, pomyślała Lori. Jedząc ze smakiem swoje muesli, oddała się codziennej przyjemności rozwiązywania krzyżówki. Haze powrócił do swych notatek i tak siedzieli zgodnie przy jednym stole w ciszy słonecznego poranka.

- Gdzie są Jackie i Amanda? - odezwała się nagle, gdy zdała sobie sprawę, że w domu panuje wyjątkowa cisza.

- W szpitalu. Robert czuł się lepiej w ciągu ostatnich dwunastu godzin i dziś zostanie przeniesiony na inny oddział. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, niedługo przewiozą go do szpitala w pobliżu domu. Jego firma zaoferowała darmowy przelot do Queensland.

- To wspaniała wiadomość - ucieszyła się Lori.

Haze uśmiechnął się do niej ciepło, na co jej serce odpowiedziało szalonym drzeniem.

- Teraz, kiedy Robertowi już nic nie grozi, oczekuję, że się wyprowadzisz - odezwała się oficjalnym tonem, nie chcąc pokazać po sobie, do czego doprowadził ją jeden jego uśmiech.

- Masz pewnie dużo pracy.

- Zastępuje mnie znajomy - odparł spokojnie. - Poza tym mam tu parę spraw do omówienia z moim wydawcą, więc zostanę jeszcze przez kilka dni. A propos, czy mogę skorzystać z telefonu?

- Oczywiście - mruknęła Lori.

Nagle przypomniała sobie ową pamiętną noc w ośrodku wypoczynkowym, kiedy to Haze rozmawiał przez telefon z Justine...

- Ale będziesz musiał mi oddać pieniądze, bo choć nie jestem uboga, nie zamierzam płacić za twe czule pogawędki z ukochaną - dodała nieuprzejmie.

Haze podniósł się, wziął się pod boki i patrzył na nią zmrużonymi oczyma. Lori była wściekła na siebie, że to w ogóle powiedziała. Wyszła na małostkową, zazdrosną kobietę, którą oczywiście nie była.

- Pozwól, że zabiorę cię dziś na kolację - odezwał się po długiej chwili milczenia. - W ramach podziękowania za gościnność wobec mojej rodziny i rekompensaty za wszelkie niewygody. Oczywiście zapłacę za wszystkie rozmowy telefoniczne.

Lori zarumieniła się po same uszy. Miał pełne prawo, by na nią nakrzyczeć, a jednak upomniał ją tylko w subtelny sposób.

- Przepraszam, nie musisz tego robić - wybąkała skruszona.

- A co do dzisiejszego wieczoru, to jestem zajęta, idę na wernisaż.

- Zjedz najpierw ze mną kolację. Nic się przecież nie stanie, gdy trochę się spóźnisz - zachęcał.

- Tym razem akurat muszę być punktualnie. Widzisz, to jest wystawa obrazów Fairlie, żony mego kuzyna, Carsona. Ona zawsze się denerwuje przed otwarciem wystawy. Myśli, że nikt nie przyjdzie. Dlatego obiecałam, że będę na czas.

- A zawsze dotrzymujesz danego słowa. - Haze uśmiechnął się tajemniczo.

O co mu tym razem chodzi, pomyślała z rozdrażnieniem. Zresztą wcale nie muszę się przed nim tłumaczyć. Odwróciwszy się na pięcie, poszła do sypialni, gdzie szybko upięła włosy w gładki kok i wykonała dyskretny makijaż. Jako że zamierzała się udać na wernisaż prosto po pracy, ubrała się w elegancki czarny kostium oraz białą bluzkę, do torby zaś włożyła czarne jedwabne spodnie i malinowe wdzianko.

Haze czekał już na nią w ogrodzie i z zainteresowaniem przeglądał gazetę.

- Jest tu twoje zdjęcie, jak wręczasz nagrodę zwycięzcom turnieju - oznajmił, gdy podeszła do niego.

- Naprawdę? - skrzywiła się. - Nie cierpię oglądać swych zdjęć w gazetach.

- Mówi się, że obiektyw aparatu fotograficznego nigdy nie kłamie - ciągnął Haze. - Dotychczas sądziłem, że to żart...

Dotychczas... Podtekst jego wypowiedzi był tak wyraźny, że Lori zrobiło się bardzo smutno. Owszem, przyzwyczała się już do tego, że nie jest piękna, ale z całego serca pragnęła, by bezwzględny obiektyw był tym razem choć odrobinę dla niej łagodniejszy.

- Nigdy nie nosisz rozpuszczonych włosów? - zapytał ni z tego, ni z owego.

- Tylko na bezludnej wyspie - odparła żartobliwie, po czym przypomniała sobie, że przecież on nie ma najmniejszego pojęcia o jej namiocie na wysepce. Uważał ją za dumną panią dyrektor, która użyła swych wpływów, aby otrzymać luksusowy apartament w hotelu bez konieczności zameldowania. Na szczęście nie zrozumiał jej uwagi, tak był zajęty wpatrywaniem się w nią. Tym razem jednak jego spojrzenie było jakieś inne, jakby zaglądał jej wprost do duszy... Przez długą chwilę nie padło między nimi żadne słowo, ale Lori czuła wyraźnie, że coś się zmieniło. Tylko co...?

Haze powędrował za nią do garażu, by pomóc jej wsiąść do samochodu. Gdy już miała odjeżdżać, sięgnął do kieszeni i podał jej niewielką karteczkę.

- Co to takiego? - zdumiała się.

- Numer mojego telefonu komórkowego, na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała - wyjaśnił. - Możesz dzwonić o każdej porze.

- Nie umiem wyobrazić sobie sytuacji, w której potrzebowałabym twej pomocy - odparła. - Chyba że zawisnę na starej, zniszczonej linie tuż nad przepaścią.

Schowała jednak karteczkę do portmonetki. Już chciała ruszyć, gdy Haze pochylił się i położył na siedzeniu obok złożoną gazetę. Poczowała delikatny zapach mydła i kawy. Jej wzrok powędrował ku jego lśniącom, króciutkim włosom. Przypomniała sobie, że kiedy były dłuższe, dotykała ich, mierzwiła dłońmi, a nawet ciągnęła za niektóre kosmyki, by przybliżyć twarz Haze do swojej...

- Nie martw się, zawsze mogę je zapuścić z powrotem - zasugerował, uśmiechając się szeroko.

- Nie lubię mężczyzn z długimi włosami - odburknęła, wściekła, że tak świetnie czytał w jej myślach.

- Przecież wiem, że ci się podobały - odparł z niezachwianą pewnością siebie.

Spokój, tylko spokój, powtarzała w duchu Lori.

- Proszę cię, Haze, zjedź mi z drogi, muszę jechać do pracy.

I znajdź sobie gdzieś indziej nocleg na tych kilka dni. Nie interesuje mnie, co powiesz siostrze, ale jeśli po powrocie znajdę twoje rzeczy w sypialni, zapewniam cię, że wylądują w koszu na śmieci.

- W takim razie rzeczywiście będę musiał coś sobie znaleźć.

- Uśmiechnął się ciepło, nie spuszczając wzroku z jej ust.

- Haze, ty mnie w ogóle nie słuchasz. Mówię całkiem poważnie - ostrzegła, próbując opanować szalone bicie serca.

W następnej chwili wargi Haze'a spoczęły na jej ustach w delikatnym, czułym pocałunku...

- Ależ ja cię naprawdę słucham, Lauro, kochanie - zapewnił.

- Wiem, że zawsze dotrzymujesz danego słowa.

Tym razem w jego głosie nie było zwykłego sarkazmu, z którym przypominał jej o złożonych obietnicach. Lori nie mogła tego zrozumieć aż do momentu, gdy stanęła na czerwonym świetle. Zerknęła wtedy na swe zdjęcie w gazecie. Tym razem wyszła całkiem nieźle. Stała bokiem i wręczała kapitanom szkolnej drużyny puchar zwycięzcy. Co też takiego Haze dostrzegł na tym zdjęciu, że zachowywał się tak dziwnie? W tym momencie Lori spostrzegła pewien szczegół, który w pierwszej chwili uszedł jej uwagi. Na tle jej eleganckiego szarego kostiumu dumnie prezentował się lśniący naszyjnik, подарowany jej przez Amandę...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wystawa obrazów Fairlie zorganizowana została w jednym z najpiękniejszych klasycystycznych budynków Melbourne, wybudowanych w pełnych nadziei czasach, kiedy to węża i bogactwo znaczyły to samo. Dostojne wnętrza, misternie rzeźbione drzwi oraz majestatyczne kolumny stanowiły idealny kontrast z nowoczesnym charakterem prac Fairlie.

Lori już od progu zauważyła żonę kuzyna, przypatrującą się krytycznie jednemu ze swych dzieł. Obok niej widoczna była spod przepierzenia para męskich nóg, co oznaczało, że Carson już przybył. Szczęściara z niej, pomyślała niespodziewanie Lori. Carson stanowił wręcz ideał męża, na którego zawsze można było liczyć. A nawet najdzielniejsza kobieta potrzebuje czasem wesprzeć się na męskim ramieniu...

Podeszła do stojącej nieopodal tacy z kieliszkami z winem i wzięwszy jeden, ruszyła w głąb galerii. Najbliższa rodzina artystki była już w komplecie. Lori przywitała się z Davidem, synem Carsona z pierwszego małżeństwa, który właśnie ustawiał aparat fotograficzny na statywie. Parę kroków dalej natknęła się na mieszkającą w Brisbane babcię Fairlie, trzymającą w objęciach małą Felicity. Nan Holborn dzielnie wspierała swą wnuczkę, choć nie podzielała jej fascynacji sztuką współczesną. Gdy Lori podeszła, starsza pani wskazywała niemowłęciu słodkiego czerwonego szczeniaczka na płótnie zatytułowanym .Archetyp nr1.

Lori usłyszała wesóły śmiech Fairlie. Widać Carsonowi udało się trochę rozluźnić żonę. Ledwo zdążyła to pomyśleć, zaszedł jej drogę wysoki mężczyzna.

- Och, Lori nie poznałem cię - zawołał Carson, bo to był właśnie on. - Do twarzy ci z rozpuszczonymi włosami.

Popatrzyła zdumiona na kuzyna.

- Myślałam, że to ty tam stoisz. - Ruchem głowy wskazała parę męskich nóg widocznych spod przepierzenia.

Wtedy dopiero spostrzegła, że ów ktoś ma na stopach buty traperskie. W jednej chwili dotarło do niej, do kogo należy owa tajemnicza para nóg. Podeszła parę kroków i wychyliła się ostrożnie zza przepierzenia. Jej najgorsze przeczucia sprawdziły się. To był Haze.

Carson tymczasem podszedł do żony i przywitawszy się z nią, poprosił o zawiązanie muszki, którą wydobyl z kieszeni marynarki. Po raz pierwszy jednak uwaga Fairlie nie była skupiona tylko i wyłącznie na nim. Malarka

raz po raz zerkała z zainteresowaniem na Haze'a. Również Lori nie mogła oderwać od niego oczu. Nie miał wprawdzie na sobie eleganckiego garnituru, ale i tak wyglądał rewelacyjnie. Ubrany był w czarne dzinsy oraz takąż skórzaną kurtkę, spod której widać było beżową bawełnianą koszulkę z jakimś nadrukiem koloru zielonego.

- Co ty tu robisz? - spytała szeptem, kiedy wreszcie podszedł do niej.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje słowa. - Uśmiechnął się ciepło, dotykając lekko jej włosów.

W tej chwili pożałowała, że poddała się impulsowi i rozpuściła włosy, ponieważ tak naprawdę zrobiła to za sprawą jego porannej uwagi. Najbardziej jednak przeraził ją fakt, że wystarczyło jego jedno słowo, a postąpiła wbrew swemu wieloletniemu zwyczajowi. Dziś fryzura, a co jutro...? Nie osiągnie swych celów, jeśli zacznie się zmieniać, by przypodobać się temu mężczyźnie.

- O ile wiem, nie zostałeś zaproszony - odezwała się ostro.

- Ale należę do rodziny.

- Nie powinieneś tu przychodzić. Tego nie było w umowie - zaprotestowała, unikając jego spojrzenia. Treścią nadruku na jego koszulce były instrukcje, jak wygasić ogień przed zwinięciem obozu. - Jesteś tylko środkiem do celu. Nie wolno ci się mieszać w moje życie...

Chwycił ją mocno za ramię.

- Zapamiętaj sobie, moja droga - wycodził przez zęby - że nigdy nie będę dla ciebie jedynie środkiem do celu.

Lori już dawno wyrwałaby mu się, gdyby nie fakt, że nie byli sami. Gdyby ktoś zauważył, że prowadzi z nim zacieklą dyskusję, od razu powiedziano by, iż robi mu sceny. Dyskutować wolno jedynie mężczyznom.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - szepnął jej prosto do ucha Haze.

- Po co? Co masz mi takiego pilnego do zakomunikowania?

Ledwo zdążyła to powiedzieć, ujrzała w oddali znajomą postać kobiety o pięknych rudych włosach. Justine! Lori poczuła silny ucisk w sercu. A więc przyszedł tu spotkać się z Justine, a jeśli miał jakąś sprawę do mnie, to na pewno związana była z jego przyjaciółką.

- Jeśli chcesz rozwodu - zaczęła chłodno, chcąc uprzedzić go, zanim sam o to poprosi - to masz moją zgodę. Nasza umowa praktycznie już wygasła. Jutro zadzwonię do mojego prawnika, niech przygotuje odpowiednie dokumenty...

Ciemnoniebieskie oczy Haze'a miały błyskawice, a jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej na ramieniu Lori.

- Jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać... - syknęła z wściekłością.

- To co mi zrobisz?

- Będę zmuszona poprosić ochronę o wyprowadzenie cię z budynku - zagroziła. - Ochronę i Carsona - dodała, by uczynić swą groźbę przynajmniej trochę realną.

Haze uśmiechnął się, słysząc ten ukryty komplement dla siły jego mięśni, lecz pogodny wyraz szybko zniknął z jego twarzy.

- O, cholera! - zaklął, podnosząc wzrok znad ramienia Lori.

- Już ją widziałam - poinformowała go, kiedy spojrzał na nią pytająco. - Czemu mi od razu nie powiedziałeś, że przyszedłeś, by spotkać się tu ze swoją przyjaciółką. Pewnie przyjechała, by kupić parę obrazów. - Z całego serca pragnęła, by jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie. - O, widzę, że wujowie już przybyli. W takim razie zostawiam cię...

Ale Haze nie pozwolił jej odejść. Co więcej, objął ją w talii i przytulił mocno do siebie. Co też on wyprawia, przeraziła się.

- Witaj, Justine - odezwał się uprzejmym głosem. - Miło cię widzieć. Pamiętasz moją żonę Lori?

Justine popatrzyła na Lori z uwagą, po czym jej oczy rozszerzyło zdumienie.

- Ach, tak. Jechałaś z Haze'em samochodem tego dnia, gdy uratował mego syna. Nie wiedziałam, że to ty jesteś ową szczęściarą. - Spoglądała na nich z nie ukrywaną ciekawością. - Stanowicie bardzo dziwną parę, jeśli mogę tak powiedzieć.

Haze uśmiechnął się.

- Nie mam nic przeciwko temu. A ty, Lauro, kochanie?

- To bardzo dobre określenie - wydusiła z siebie.

Nie miała zielonego pojęcia, po co to całe przedstawienie. Przecież jej rodzina wiedziała, jak przedstawia się sprawa ich małżeństwa, a Justine doskonale zdawała sobie sprawę, kto tak naprawdę jest ukochaną Haze'a.

Z ukłuciem zazdrości w sercu Lori musiała przyznać, że rudowłosa piękność jest jeszcze bardziej olśniewająca niż przy ich poprzednim spotkaniu. Nawet delikatne zmarszczki wokół oczu dodawały jej niezaprzecznego uroku. Jej lśniące kasztanowe włosy były doskonale ostrzyżone przez mistrza fryzjerskiego, tak by wyglądały, jakby przed dziesięcioma minutami zmierzwił je niecierpliwy kochanek. Lori

przyłapała się na zastanawianiu, gdzie był Haze przed dziesięcioma minutami. Gdy przywołała się do porządku, spostrzegła, iż Justine patrzy na nią z wyraźną niechęcią, co było co najmniej dziwne, wzięwszy pod uwagę, że przecież to ona była kochanką jej męża.

Justine jęła zadawać Haze'owi pytania dotyczące ich niecodziennego związku. Jak tolerują tak częste rozłąki? Gdzie mieszkają w Melbourne? Gdy Haze oświadczył, że wprowadził się do mieszkania żony, Justine zaczerwieniła się od ledwo tłumionego gniewu.

- Nie zgodziłeś się, gdy ja ci to proponowałam - szepnęła z wyrzutem.

Lori nagle odkryła, że bardzo współczuje Justine, choć tak naprawdę ani w ząb nie pojmowała, o co w tym wszystkim chodzi.

Przyjaciółka Haze'a pozostała z nimi jeszcze chwilę, powiedziała parę słów o swej galerii oraz o Tonym, po czym szybko się oddaliła.

Moja żona... Dziwne, te dwa proste słowa nieoczekiwanie przyprawiły ją o zawrót głowy...

- Trochę minąłeś się z prawdą - odezwała się,, myśląc intensywnie, co to wszystko może oznaczać. - Powiedziałeś, że przeprowadziłeś się do mnie, podczas gdy ostatniej nocy spałeś w szopie w moim ogrodzie.

- Ale wciąż byłeś duchem ze mną. Kiedy układałem się między sekatorem i grabiami, czułem się prawie tak, jakbyś była u mego boku - zażartował. Lori roześmiała się wesoło.

- Odnoszę wrażenie, że Justine nie wie, że nie jesteśmy naprawdę małżeństwem.

Haze, który wciąż tulił ją mocno do siebie, posłał jej uważne spojrzenie.

- Nic jej nie powiedziałem - wyznał.

Lori pragnęła odwrócić wzrok od jego twarzy, ale nie miała siły.

- Nie powiedziałeś ani swojej rodzinie, ani przyjaciółce. Komu więc powiedziałeś? - jęknęła.

- Nikomu - szepnął. - Poza tym Justine nie jest moją przyjaciółką. Wyciągnęłaś zbyt pochopnie wnioski...

- Nie nazwałabym tego pochopnym wyciąganiem wniosków. Poza tym sam mi powiedziałeś, że coś między wami było.

- O ile pamiętam, spytałaś mnie, czy mogę zaprzeczyć, że coś kiedykolwiek zaszło między nami - przypomniał Haze. - Owszem, było coś między nami, ale skończyło się już dawno temu. A co do tego dnia, gdy wyratowałem jej syna, naprawdę odniosłaś mylne wrażenia...

Lori pociągnęła duży łyk wina.

- A więc wszyscy twoi bliscy i znajomi sądzą, iż faktycznie jesteśmy małżeństwem? - powtórzyła. - Teraz będziesz musiał wyjaśnić im, dlaczego bierzemy rozwód. Naprawdę, nie rozumiem, jak mogłeś do tego dopuścić.

- Wiem, że nie rozumiesz - odparł miękko, gładząc ją czule po włosach.

Nie pierwszy raz patrzył na nią z taką tkliwością i za każdym razem coraz cięższą walkę staczała ze sobą, aby mu się oprzeć. Do tej pory mogła używać Justine jako doskonałego argumentu, ale dziś została go pozbawiona. Czowała się jak uciekinier, którego schwytano wreszcie po wielu dniach poszukiwań... Bez broni, bez schronienia...

- Rozluźnij się, Lauro, kochanie - przerwał jej rozmyślenia Haze, widząc w jej oczach wyraźne napięcie. - Przypomnij sobie, że ożeniłem się z tobą wyłącznie dla twych pieniędzy i od razu poczujesz się lepiej.

Wcale jej to nie pomogło. Haze poszedł obejrzeć resztę obrazów, a ona została sama ze swymi myślami. Była kompletnie oszołomiona. Jak to możliwe, by kobieta z wyższym wykształceniem i z latami doświadczeń w bezwzględnym świecie biznesu nie mogła znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania?

Kiedy po raz pierwszy zapytała Haze'a, czemu nie powiedział prawdy swej rodzinie, odparł, że dlatego, iż sam chciałby wierzyć, że to jednak prawda. W dodatku nie poinformował też Justine, czyli nie spotykał się z nią, nie całował jej, nie... Wbrew samej sobie Lori poczuła, jak w jej sercu zaczyna się tlić płomyk nadziei.

Naraz dostrzegła, że Haze podchodzi do stojących nieopodal wujów. Carson, który również się tam znajdował, przedstawił ich sobie, Lori zamarła z przerażenia, a zarazem z ciekawości. Przecież nic mnie nie obchodzi, co myślą o mężczyźnie, którego poślubiłam, przywołała się do porządku. A jednak obchodziło ją to. Z niepokojem obserwowała nieufne spojrzenia obydwu stron. Jeśli Haze spodziewał się, że powitają go równie serdecznie, jak Fairlie, to się grubo pomylił.

Zresztą należało mu się to. Nie dość, że przyszedł nie zaproszony, to w dodatku ubrał się jak na kilkudniową włóczęgę po górach. Lori знаła dokładnie opinię wujów na temat stosownego stroju, wiedziała więc, że za swój ubiór Haze niewątpliwie otrzyma mnóstwo punktów ujemnych.

Czy to rzeczywiście możliwe, że pragnął, aby ich małżeństwo było prawdziwe? Czy to dlatego urządziłam romantyczny ślub? Nagle serce Lori zamarło. Czyżby Haze ją kochał? Oddała pusty kieliszek kelnerowi i

wzięła kolejny, gdyż w jednej chwili zaschło jej w gardle. Miłość, pomyślała z rozmarzeniem. Szybko jednak przywołała się do porządku. Czy już całkiem zwariowała, że rozmyśla o miłości, podczas gdy czegoś takiego nie było w jej planach? Jak może być taka samolubna? Nie ma prawa zastanawiać się, czy Haze ją kocha, skoro nawet nie mogłaby odwzajemnić tego uczucia. Nie ma prawa do drżenia rąk, do przyspieszonego bicia serca, do nagłego braku tchu...

A jednak jej oczy wciąż szukały jego smukłej sylwetki. Jej uszy zdawały się być odbiornikami, nastawionymi jedynie na dźwięk jego głosu. Tymczasem od kilkunastu minut Haze raczej słuchał, niż mówił. Przypuszczała, że to jego taktyka, mająca na celu przetrwanie w obcym środowisku. Wsłuchiwała się w dobiegające ją strzępy rozmów.

- Haze... to bardzo dziwne imię. Zresztą rodzice często nadają swym dzieciom śmieszne...

- A to, moja maleńka, jest mały konik... . - Clark, Errol...

- Gdzie są tabliczki z napisem: sprzedane?

- Mieliśmy jeszcze jednego brata, ojca Lorelei. Miał na imię Tyron...

- Nasi rodzice byli zapalonymi kinomanami. Mogło być jeszcze gorzej...

- Sprzedałam już trzy obrazy, Carson! Trzy!

- Konik, na obrazie twojej mamusi jest mały konik, widzisz?

- Mogli nazwać któregoś z nas Rock...

Lori spostrzegła, że nieufne spojrzenia przerodziły się w coraz bardziej widoczne oznaki sympatii. Dobiegł ją wybuch serdecznego śmiechu. Wuj Clark poklepał Hazę po plecach. Nawet Mark się uśmiechał. Desperacko pociągnęła duży łyk wina, zapominając o swej żelaznej zasadzie abstynencji.

- Właśnie poznałem twego męża - oznajmił Mark, który niespodziewanie pojawił się tuż obok niej. W jego spojrzeniu dostrzegła szacunek. Wielkie nieba, to ona przez tyle lat pracowała w pocie czoła, by tym zaskarbić sobie szacunek swego brata, a on teraz patrzy na nią z uznaniem, bo wyszła za mąż za Haze'a Callahana!

- I co, wiesz już teraz, jak wygląda mięczak, który żeni się z kobietą dla jej pieniędzy? - zadrwiła.

Mark uśmiechnął się, zawstydzony swymi niedawnymi uwagami.

- Przepraszam, byłem wtedy rozczarowany, że straciłem dom Woody - wyznał. - Przez chwilę sądziłem, że jednak to ja byłem jej ulubieńcem, ale, jak się okazało, byłem tylko numerem dwa.

- Ależ, Mark, nie powinieneś tak mówić. - Lori serdecznie poklepała brata po ramieniu.

- Czyżby? Widzisz, nie jest łatwo, gdy się ma genialną siostrę, która wciąż depta ci po piętach.

- Genialną? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Lori, na litość boską, przecież ty się nigdy nie mylisz. Nawet kiedy wysłaś za męża, by odzyskać domek Woody, nie wybrałaś sobie byle kogo. Widziałaś, jak wujowie go polubili? Jeśli tak dalej pójdzie, jeszcze parę dni, a zaproponują mu miejsce w zarządzie.

Mark odszedł, pozostawiając Lori rozdartą pomiędzy radością, że Haze zdołał zyskać sympatię zwykle niedostępnych wujów, a wściekłością, że dokonał tego bez żadnego wysiłku. Dlatego krew zawrzała w jej żyłach, kiedy wujowie podeszli do niej i pochwalili za to, że wybrała sobie na męża tak wyjątkowego mężczyznę.

- Tak, rzeczywiście musi być wyjątkowy, skoro miał odwagę podać was do sądu i jeszcze w dodatku wygrał - odparła.

Zwykle była chłodna i opanowana, toteż wuj Clark popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Czy dobrze się czujesz, Lorelei? - spytał z autentyczną troską w głosie.

- Na litość boską, przestań nazywać mnie Lorelei - warknęła. - Nienawidzę tego imienia. Mów do mnie Lori.

- Postaram się, ale nie mogę ci nic obiecać. - Uśmiechnął się i poklepał ją po plecach. - Trudno jest zmienić stare przyzwyczajenia.

- W takim razie postaraj się, wuju. Jest jeszcze jedno przyzwyczajenie, które powinieneś zmienić. Ciocia Cheryl zaczyna już nosić fryzury jak dwudziestki, za którymi się uganiaasz, i jak tak dalej pójdzie, całkiem wyłysieje od tych wszystkich farb. Czy już nie najwyższy czas, żebyście oboje dorośli?

Wuj Clark pokręcił głową z oburzeniem, po czym szybko się oddalił. Niedługo nikt w zarządzie nie będzie chciał ze mną rozmawiać, pomyślała Lori, popijając wino. Pomachała na kelnera, który szedł właśnie z tacą pełną kieliszków, ale nagle wyrósł tuż przed nią Haze.

- Och, a otóż i nasz Indiana Jones - zakpiła, próbując odsunąć go na bok.

Haze stanowczo ujął ją pod rękę i wyprowadził do niewielkiego pomieszczenia na tyłach wystawy.

- Siadaj - polecił. - Zrobię ci kawy.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że za dużo wypiałam? - oburzyła się.

- Nigdy nikomu nic nie wmawiam. Naprawdę za dużo wypijaś - odparł, sadzając ją na ławce obok ubrań Carsona. - Powinnaś teraz napić się dobrej, mocnej kawy.

- Powinnaś... Znów ta sama śpiewka! - Zerwała się na równe nogi. - Jak śmiesz mnie pouczać?

- Jeśli nie przestaniesz pić, możesz powiedzieć lub zrobić coś, czego później będziesz żałować - ostrzegł, napełniając czajnik wodą.

- Ty...! Ty... obrzydliwy zarozumiałcze! - krzyknęła. - Jestem dorosłą kobietą i jeśli narobię sobie kłopotów, sama je potem rozwiążę. Nie życzę sobie, żeby ktoś mnie pouczał! Co ty sobie myślisz? Tyle lat pracowałam, żeby zdobyć swą pozycję i nie pozwolę, żeby jakiś przybłęda, wystrojony jak na wyprawę w góry, podważał moją wiarygodność. Idź sobie wreszcie, Haze.

- O nie, nie mógłbym. Wujowie byliby niepokieszeni. Ciekawe, mimo tych wszystkich bojów, jakie ze sobą stoczyliśmy, oni sprawiają wrażenie, jakby mnie lubili...

- A jakże! Lubią, a nawet szanują cię. Cudownie, prawda? To ja musiałam urobić sobie ręce po łokcie, żeby zyskać ich przychyłność, a ty co? Zjawiasz się, delikatnie mówiąc, w nieodpowiednim stroju, z kiepską reputacją i bez żadnego wysiłku rzucasz ich na kolana. A wiesz, dlaczego? 80 jesteś facetem!

Dalsze słowa uwięzły jej w gardle, więc odwróciła się plecami do Haze'a, aby móc w miarę dyskretnie otrzeć łzy. Jednak on był szybszy. Odwrócił ją do siebie i zajrzał głęboko w oczy.

- A niech to - mruknęła. - Muszę jeszcze trochę popracować nad tym płaczem.

Bez słowa przyciągnął ją do siebie, a ona oparła czoło na jego piersi. Jak to dobrze móc czasem oprzeć się na kimś silnym... Po chwili doszła na tyle do siebie, że odsunęła się i energicznie obciągnęła żakiet.

- Jak już mówiłam - zaczęła stanowczym tonem - powinniśmy wreszcie zakończyć całą tę historię. Zadzwoń jutro z samego rana do mojego prawnika. Pod jakim adresem ma ci przysłać dokumenty? Do biura, czy do domu?

- Czy naprawdę uważasz, że jakieś tam dokumenty wszystko załatwią?

- Kilka dokumentów wystarczy, by rozwiązać małżeństwo.

- Nie mówię o małżeństwie, bo przecież nim nie jesteśmy. Mówię o tym napięciu, jakie panuje między nami. Co z tym zrobimy, Lauro, kochanie? -

spytał, biorąc ją w ramiona. - Papiery rozwodowe nic tu nie zmieniają. Zawsze będziemy się zastanawiali, jak by to było, gdybyśmy zostali kochankami. Powinniśmy posłuchać swego instynktu już wtedy, na początku... -Przesunął delikatnie ustami po jej szyi. - Powinniśmy spróbować jeszcze raz. - Jego gorące ręce wędrowały powoli po jej plecach, przyprowadzając Lori o rozkoszny dreszcz. - Rozstaniemy się dopiero wtedy, gdy przestaniemy odczuwać to napięcie...

Ciekawe, jak długo by to trwało, pomyślała Lori. Tydzień? Dwa? Sześć miesięcy? Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to nie jest żadne wyjście z sytuacji, ale ona sama nie była pewna, czy w ogóle chce słuchać głosu zdrowego rozsądku.

- Haze... - zaczęła, ale przerwał jej radosny śmiech Fairlie, która właśnie stanęła na progu.

- Nie przeszkadzajcie sobie - zawołała wesoło. - Wiem, jak to jest...

- Chyba raczej nie wiesz - mruknęła pod nosem Lori, odsuwając się od Haze'a.

- Zaczynam myśleć, że. było wam trochę przyciasno w tym maleńkim namiocie - zaśmiała się Fairlie. - Na szczęście ty jesteś przyzwyczajony do takich warunków, prawda, Haze?

- W namiocie? - powtórzył, wpatrując się intensywnie w twarz Lori. Zwykle dosyć szybko kojarzył, ale tym razem miał wyraźne kłopoty.

- Mój znajomy z uniwersytetu prosił, żeby ci podziękować za świetne notatki. - Fairlie zwróciła się tym razem do Lori. - Powiedział też, że jeśli znów zapragniesz wakacji na bezludnej wyspie, wystarczy, że dasz mu znać, a z radością pozwoli ci podlewać swe eksperymentalne rośliny.

To powiedziawszy, pobiegła z powrotem do galerii.

- Podlewać eksperymentalne rośliny? - powtórzył Haze niepewnie. Lori była szczerze uradowana, że wreszcie może mu pokazać, jak bardzo się mylił.

- Mieszkałam w namiocie na tej małej bezludnej wysepce, która należy do uniwersytetu - wyjaśniła. - Podlewałam różne dziwaczne rośliny, mierzyłam poziom opadów i robiłam notatki w zamian za możliwość korzystania z obozowiska.

Haze zamrugął szybko oczyma.

- Ty... mieszkałaś... w obozowisku? - wymamrotał. - Spałaś w namiocie?

- Owszem - odparła, patrząc na niego kpiąco. - Nie masz nawet pojęcia, jak jest ciemno z dala od świateł ośrodka...

Uśmiechnął się lekko, rozpoznając swe własne słowa

- Skąd mogłem przypuszczać? Nie wyglądasz na kogoś, kto dałby sobie radę w takich warunkach.

- Bo ledwo zmieniałam szary kostium na zieloną falbaniastą sukienkę, a już zacząłeś mnie traktować jak słodką idiotkę - zaśmiała się triumfalnie.

- Nie pamiętam, żebym się tak zachowywał - stwierdził, nie spuszczać z niej badawczego spojrzenia.

- Tropiki uderzyły ci do głowy - przedrzeźniała go. - „Nie zmrużyłabyś oka, Lauro, kochanie”. Przyznaję, że nie było mi łatwo przyzwyczać się do takiej ciemności, ale jakoś sobie dałam radę.

Jego ciemnoniebieskie oczy patrzyły na nią z wyraźnym podziwem.

- Jesteś naprawdę niezwykła - wykrztusił w końcu.

- Wiem - odparła nonszalancko.

- A ja wyobrażałem sobie, jak uciekłaś ode mnie owej nocy do swego luksusowego apartamentu, by obmyślać ową genialną umowę. - Roześmiał się wesoło. - Co tak naprawdę zrobiłaś?

- Przebrałam się na plaży, czekałam na odpływ, a potem przeszłam na moją wyspę i powędrowałam do mojego obozowiska.

- Jak długo musiałaś siedzieć na plaży?

- Mniej więcej półtorej godziny. Haze gwizdnął z podziwem.

- Nie bałaś się, że skaleczysz sobie nogę, przechodząc na wyspę? - dopytywał się. - Przecież nic nie widziałaś.

- Pewnie, że się bałam - przyznała. - Na szczęście nic mi się nie stało, poza tym, że wyszłam na brzeg mokrzusieńka.

- A potem musiałaś się jeszcze dostać do namiotu...

- Owszem, jeszcze jakieś dziesięć minut drogi w całkowitych ciemnościach. Gdybyś nie zachowywał się tak protekcyjnie w stosunku do mnie, na pewno pokazałabym ci moje obozowisko.

- Nie rozumiem. - Zmarszczył brwi.

- Miałam zamiar zaprosić cię do siebie, ale zacząłeś mnie traktować jak małą, kapryśną dziewczynkę, która nie potrafi rozróżnić, która rączka jest lewa, a która prawa.

Nagle Haze uśmiechnął się triumfalnie. Co ja takiego powiedziałam, zastanowiła się Lori.

- Jak cudownie byłoby móc spać pod gołym niebem - zacytował jej własne słowa. - Czyżbyś w ten sposób próbowała mnie zaprosić do siebie?

W tym momencie Lori zrozumiała, że sama zastawiła na siebie pułapkę. Tak się rozkoszowała swym triumfem, iż nie dostrzegła, że w ten sposób odkryła przed nim swe karty. Haze był zbyt inteligentny, by nie zrozumieć - znaczenia tej pozornie niewinnej propozycji.

- Och, to pewnie szampan chwilowo zaszumił mi w głowie - stwierdziła pozornie beztróskim tonem.

- Powiedz mi prawdę, czemu wtedy uciekłaś? - Nie dał się zwieść jej nonszalanckiej uwadze.

Och, trzeba było trzymać buzię na kłódkę, skarciła się w duchu. Przecież uwierzył w jej argumenty o przedkładaniu interesów nad przyjemności, wyobraził ją sobie, jak odchodzi do swego apartamentu i trzeźwo opracowuje plan wykorzystania jego osoby do własnych celów. A teraz? Musiałby być kompletnie ślepy, aby nie zauważyć, że ryzykowna przeprawa przez wodę tylko przy słabym świetle latarki, a potem przedzieranie się przez gęste krzaki noszą wszelkie znamiona panicznej ucieczki.

Lori nie miała pojęcia, jak powinna się zachować. Haze chciał mieć z nią tylko romans i nic więcej. Ona natomiast przestała być czegokolwiek pewna w swym życiu i coraz bardziej podejrzewała, iż w głębi serca pragnie czegoś więcej... By dać sobie jeszcze czas na udzielenie odpowiedzi, jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Lauro, kochanie, naprawdę już ci wystarczy - upomniał ją Haze, wyjmując jej z dłoni kieliszek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie powiedział tego głośno, ale stojący nieopodal Clark Tate usłyszał. Uśmiechnął się z aprobatą, widząc, że ktoś wreszcie upomniał jego denerwująco niezależną bratanicę. Lori dostrzegła jego zadowoloną minę i krew zawrzała jej w żyłach. Wyrwała się Haze'owi i bez słowa, rzuciwszy mu tylko wściekłe spojrzenie, odeszła. Gdy po kilku minutach powróciła w to miejsce, aby mu oznajmić, że wychodzi, nie zastała go tam.

- Nie możesz sama jechać do domu w tym stanie - zdecydował Carson, kiedy podeszła, by się pożegnać.

- Na litość boską - warknęła. - Jeśli jeszcze jeden zadufany w sobie facet powie mi, co mogę, a czego nie, zacznę krzyczeć.

- Pozwól w takim razie, żebyśmy ci wezwali taksówkę - odezwała się Fairlie, a w jej głosie słycać było niepokój.

- Mam przy sobie telefon - odparła Lori głośno i wyraźnie. - Od lat już zamawiam sobie taksówki, więc wiem, jak to się robi. Czemu nagle zaczęliście mnie traktować, jakbym nie umiała wykonać podstawowych czynności?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i wyszła. Wiał chłodny wiatr, a na domiar złego siąpił nieprzyjemny deszcz. Taka aura na pewno nie sprzyjała polepszeniu nastroju, toteż gdy Lori ujrzała zwalistego chłopaka, szarpiącego zapłakaną dziewczynę, nawet nie zastanawiała się, czy to najlepsze posunięcie, tylko podeszła do nich szybko.

- Wszystko w porządku? - zwróciła się do ciemnowłosej dziewczyny, która wyglądała najwyżej na siedemnaście lat.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią groźnie, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Tego dnia miała już stanowczo dość facetów.

- Spadaj! - burknął.

- Czy ten człowiek cię napastował? - ciągnęła, ignorując go zupełnie.

- Powiedziałem: spadaj! - wrzasnął chłopak z wściekłością.

- Nie mówiłam do ciebie, ale do tej dziewczyny - odparła spokojnie Lori.

- Ale ona nie chce z tobą gadać, więc spływaj!

- Mam tu telefon - poinformowała dziewczynę, wydając aparat z torby.

- Czy chcesz, żebym wezwała policję?

Mężczyzna puścił ramię nastolatki i postąpił krok w kierunku Lori.

- Mam już dosyć tych głupich bab - wycedził przez zaciśnięte zęby, chwytając Lori za nadgarstek. - Najpierw jej matka, a teraz ty! Dawaj mi ten telefon! - Chciał jej go wyrwać, ale ona była szybsza. Jej zaciśnięta pięść z całym impetem wylądowała na jego ramieniu. Mężczyzna aż zawył z bólu.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Podjechała taksówka. Dziewczyna zakląła brzydko i zaczęła okładać Lori pięściami, a potem szarpać za włosy. Lori krzyknęła z bólu i zachwiała się, upuszczając telefon. Kiedy się pochyliła, by go odnaleźć, pośliznęła się na mokrym chodniku i upadła. Dziewczyna kopnęła ją z całej siły w kostkę.

- To cię oduczy wtykania nosa w nie swoje sprawy! - warknęła ze złością.

- Ależ drogie panie - odezwał się jeszcze jeden głos. - Czy warto o niego walczyć?

Lori, leżąc na chodniku, podniosła głowę i ujrzała dwóch policjantów. Przyjechali radiowozem, który ona wzięła za taksówkę.

- Dzięki Bogu - jęknęła z ulgą.

Jednak jej radość okazała się przedwczesna, gdyż policjanci nie chcieli wierzyć zapewnieniom o jej niewinności i kazali wsiadać do radiowozu wraz z dwójką napastników.

- Popełniacie panowie duży błąd - powiedziała chłodno. - Chyba widać, że nie należę do kobiet, które lubią wdawać się w bójki na ulicach.

- Tak, akurat - mruknął jeden z policjantów, patrząc na jej mokre, zabłocone ubranie i potargane włosy.

W radiowozie Lori nie odezwała się ani słowem, natomiast tamci dwoje nie przestawali obwiniać jedno drugiego aż do momentu, kiedy przypomnieli sobie, że mają wspólnego wroga i oskarżyli o wszystko Lori. Ona sama obiecała sobie, że gdy tylko znajdą się na posterunku, pokaże im swój dowód osobisty i tym sposobem rozwiąże całą sprawę. Przepraszą ją za pomówienie, poczęstują kawą i odwiozą do domu.

Jednak stało się inaczej, ponieważ kiedy tylko przekroczyli próg posterunku, Lori rozpoznała reportera, który kręcił się tam w poszukiwaniu tematu na ciekawy artykuł. Już sobie wyobraziła te obraźliwe nagłówki w porannych gazetach. Pani dyrektor Tate w więzieniu. Skandal w zarządzie Tate Corporation. Chybaby umarła ze wstydu.

Nie chcąc zostać rozpoznana przez dziennikarza, spuściła nisko głowę. Oficer dyżurny zapytał ją o nazwisko.

- Callahan - odparła po chwili wahania. - Lori Callahan. Policjant pochylił się ku niej, wciągnął powietrze w nozdrza i spytał, czy piła. Z zażenowanym uśmiechem przyznała, że tak.

- Mój mąż mnie chyba zabije - oznajmiła grobowym głosem. - Proszę, niech pan nie wnosi przeciwko mnie oskarżenia, dobrze? - dodała błagalnie.

Oficer uśmiechnął się wielkodusznie, widząc jej reakcję.

- Nie mogę pani wypuścić w takim stanie. Najlepiej byłoby, gdyby pani zadzwoniła do męża, opowiedziała mu wszystko i poprosiła, żeby po panią przyjechał - poradził. - Może pani też powiadomić kogoś innego, jeśli boi się reakcji małżonka.

Lori zacisnęła zęby. Nie mogła przecież poprosić nikogo z rodziny, żeby przyjechał po nią na posterunek. To by dopiero się nasłuchiwała! Chcąc nie chcąc, wyjęła z torebki portmonetkę, w której znajdowała się karteczka z numerem telefonu Haze'a.

- Pani Callahan - mruknęła sama do siebie. Po raz pierwszy użyła tego nazwiska...

- Callahan, słucham - w słuchawce odezwał się znajomy głos.

- Haze? To ja, Lori - szepnęła. - Potrzebuję cię...

Przez długi moment po drugiej stronie linii panowała cisza. Lori wystraszyła się, że hulająca na zewnątrz burza zerwała połączenie, ale podświadomie czuła, że Haze ciągle tam jest.

- Haze... - powtórzyła, zawstydzona nieco otwartością swej poprzedniej prośby. - Zawisłam nad przepaścią na starej linii.

Roześmiał się.

- Gdzie jesteś?- spytał.

Z niejakim zażenowaniem poinformowała go, że znajduje się na posterunku policji.

- Już do ciebie jadę.

Pół godziny później pojawił się w drzwiach i rozejrzał się uważnie po posterunku. Jego włosy, twarz i kurtka były wilgotne, co znaczyło, że deszcz jeszcze nie ustał. Lori podniosła się, ale on jej nie zauważył.

- Nazywam się Callahan - oznajmił, podchodząc do oficera dyżurnego.

- Świetnie. Pańska żona jest gotowa do wyjścia. Nie wnieśliśmy oskarżenia.

- Moja żona? - Zamrugnął niepewnie oczyma.

Wtedy spostrzegł Lori, która mimo swych najszczerzych wysiłków wciąż była w opłakanym stanie. Podeszła do niego, starając się sprawiać wrażenie skruszonej małżonki.

- Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko, kochanie - powitała go z nieśmiałym uśmiechem.

Haze przyjrzał się jej z uwagą.

- Co tym razem nabroiłaś, złotko? - zapytał, obejmując ją w talii.

Policjant pokręcił głową na tę wyraźną sugestię, że nie po raz pierwszy znalazła się w opałach.

- Proszę na siebie uważać, pani Callahan. I ostrożnie z alkoholem. Wie pani chyba, że kobiety mają słabsze głowy, prawda?

Lori spojrzała znacząco na Haze'a, aby się przypadkiem nie wyrwał z jakimś: A nie mówiłem?

- Dziękuję za zrozumienie, sierżancie Reynolds - odparła potulnie.

Reporter, który od jakiegoś czasu chodził w tę i z powrotem, dyktując coś przez telefon, odwrócił się i spojrzał na nią z zaciekawieniem. Lori ukryła twarz na piersi Haze'a i nieoczekiwanie dla samej siebie rozplakała się. Zrozumiała bowiem, że ów mężczyzna, który tuli ją do siebie, jest najważniejszą osobą w jej życiu. Że tak długo od niego uciekała, ale już dłużej nie może. Że coś w jej życiu zmieniło się nieodwracalnie.

- Zabierz mnie do domu - poprosiła szeptem. Tym razem nie udawała.

Deszcz nie przestawał padać. Mokre chodniki lśniły, odbijając światła licznych neonów. Przed wejściem na posterunek czekała na nich taksówka. Gdy wsiedli, Haze podał kierowcy adres domu Lori.

- Pani Callahan? - zapytał, gdy auto ruszyło.

- Tak - szepnęła. Wiedziała doskonale, co miał na myśli.

- Zimne dłonie, gorące serce. - Uśmiechnął się, gładząc ją czule po rękę.

Wciąż mżyło, gdy weszli do cichego domu. W pokoju Jackie paliło się światło.

- Szybko - mruknął Haze, ciągnąc Lori do łazienki. - Tym razem nie mam jakoś ochoty na pogawędki z siostrą.

Włączywszy grzejnik, zrzucił kurtkę i wsunął ręce pod żakiet Lori.

- Wiem, że to brzmi banalnie, ale pozwól, że pomogę ci zdjąć te mokre ubrania - zaproponował z szelmowskim uśmiechem.

Lori roześmiała się wesoło, po czym szybko umilkła, świadoma obecności jego siostry. Haze powoli wysuptywał ją z wilgotnej odzieży,

delikatnie całując każdy odkrywany kawałek ciała. Jego dłonie niespiesznie wędrowały po jej plecach, ramionach, piersiach... Zadrzała, gdy jego wargi zaczęły smakować jedwabistą skórę jej piersi.

- Och, Haze... - wyszeptała oszołomiona.

Jej niecierpliwe dłonie odnalazły klamrę jego paska, ale Haze odsunął je łagodnie.

- Jeszcze nie teraz, Lauro, kochanie - powiedział zdławionym głosem. - Tak długo na to czekałem, że nie chcę, aby się tak prędko skończyło.

Zaśmiała się radośnie. Gdy na podłogę, jako ostatnie, zsunęły się jej koronkowe figi, postąpiła krok do przodu i przytuliła się do niego. Wziął ją na ręce i postawił pod prysznicem, sam tymczasem, nie spuszczać z niej gorącego spojrzenia, pochylił się, by zdjąć buty. Podniósłszy się, zaczął rozpinąć spodnie, ale Lori z łobuzerskim uśmiechem wciągnęła go pod strumień ciepłej wody. Natychmiast jego koszulka była cała mokra, więc nie pozostawało nic innego, jak tylko ją zdjąć, z czego Lori skwapliwie skorzystała. Bardziej kłopotliwe okazały się spodnie.

- Zdaje się, że się skurczyły - jęknął Haze, szamocząc się z mokrymi nogawkami. - Na szczęście tylko one jedno - dodał, mrugając porozumiewawczo.

Kurtyna z pary wodnej otuliła ich szczelnie, kiedy stali spleceni w miłosnym uścisku. Lori miała wrażenie, że na moment czas się zatrzymał, świat przestał istnieć, istnieli tylko oni dwoje, złączeni w jedno ciało i jedną duszę...

- Sądziś, że Jackie zauważyła, że miała miejsce tylko jedna kąpiel? - Lori zapytała dużo później, kiedy leżeli obok siebie na łóżku.

- Miejmy nadzieję, że słyszała tylko tyle - odparł, uśmiechając się łobuzersko.

Roześmiała się na wspomnienie swych głośnych okrzyków zachwyty.

- Chciałabym... - wymruczała przeciągle, przesuwając palcem po jego silnym, wspaniałym ciele, które natychmiast odpowiedziało dreszczem na tę delikatną pieśczętę. - Ale mam zimne ręce... - powiedziała z udawanym smutkiem.

- Może więc je ogrzejesz, Lauro, kochanie - zaproponował, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Jesteś tego pewien? - droczyła się, świadoma swej przewagi.

- Absolutnie - zapewnił ją gorąco.

- W takim razie leż sobie spokojnie i myśl o swym koncju w banku szwajcarskim - zakomenderowała, ochoczo zabierając się do dzieła.

Obudziła się nad ranem bez żadnego wyraźnego powodu i przez moment słuchała miarowego oddechu Haze'a. Podparła się na łokciu, by móc się przyjrzeć swemu uśpionemu mężowi. Dopiero po kilku chwilach spostrzegła, że jego oczy są otwarte.

- Dzień dobry - mruknął, całując ją w szyję.

W tym momencie zadzwonił telefon. Lori sięgnęła po słuchawkę, ale Haze był szybszy.

- Callahan, słucham - powiedział, patrząc na nią ciepło. - Halo! Halo! - Odłożył słuchawkę. - Głucha cisza. Pewnie ktoś pomylił numer.

- Niepotrzebnie to zrobiłeś - upomniała go. - To przecież mój telefon. Nie wiem, co sobie ten ktoś pomyślał, kiedy usłyszał twój głos.

- Pewnie to, że jesteś teraz ze mną w łóżku - odparł beztrosko. - Zresztą zgodnie z prawdą. Martwi cię to?

Lori ze zdumieniem skonstatowała, że ani trochę jej to nie martwi. Była tak szczęśliwa w jego objęciach, że świat mógł równie dobrze przestać istnieć. Przytuliła się do Haze'a i zasnęła z błogim uśmiechem na ustach.

Było już po siódmej, gdy ponownie otworzyła oczy. Podniósłszy głowę, wpatrzyła się w tarczę budzika.

- Ojej, jak późno - jęknęła i poderwała się z łóżka.

Z niechęcią popatrzyła na panujący w sypialni bałagan. Na podłodze leżały ich ubrania, przyniesione z łazienki i po prostu rzucone na kupkę. Lori poczuła przyływ irytacji, ale nie odezwała się ani słowem. Podeszła do szafy, aby wybrać sobie jakiś strój do pracy. Zwykle robiła to wieczorem, tuż przed snem.

Wczorajszy wieczór był pierwszym od wielu lat, gdy odstąpiła od tego rytuału.

Przez cały czas, gdy kręciła się w pośpiechu po pokoju, czuła na sobie wzrok Haze'a. Wiele razy słyszała, że pierwszy wspólny poranek jest najtrudniejszy i tym razem miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze. Była odrobinę zażenowana, zawstydzona, a zarazem szczęśliwa. Nic już nie będzie, jak było, pomyślała. Miała rację, ten poranek był tego dowodem.

Jej ciało stało się niesłychanie wrażliwe, zupełnie, jakby pojawiły się w nim nowe zakończenia nerwowe. W jej głowie panował kompletny chaos, tak że zupełnie nie mogła zebrać myśli. Podobny nieład panował na jej

toaletce, na której piętrzyła się cała sterta obcych przedmiotów. Był tam portfel Haze'a, jego telefon komórkowy, karty kredytowe, pęk kluczy, notes oraz kilkanaście monet. Ich właściciel natomiast leżał w jej własnym łóżku i obserwował ją z lekkim uśmiechem na ustach.

Lori poczuła, że jest coraz bardziej zirytowana i zaczęła mechanicznie porządkować toaletkę, próbując choć w niewielkim stopniu przywrócić ją do stanu z dnia poprzedniego.

- Nic to nie da, Lauro, kochanie - odezwał się Haze. - Nie uda ci się przywrócić dawnego porządku.

- Co takiego?

- Mam wrażenie, że układając moje rzeczy, próbujesz mnie jakoś zaklasyfikować, umieścić w odpowiedniej przegródce twego życia.

- Ależ nie - odparła, rumieniąc się. - Ja po prostu... nie jestem przyzwyczajona do dzielenia z kimś domu. Nigdy jeszcze tego nie robiłam...

- Jak to? - Uniósł brwi ze zdumienia. - Nigdy nie mieszkałaś z mężczyzną?

- Mówisz tak, jakbym miała cały legion kochanków! - zawołała zniecierpliwiona. - Owszem, spotykałam się z kilkoma, ale tak na poważnie byłam tylko z jednym...

- Z Carlem? - Skrzywił się. - Czy może z tym, który miał wypadek?

- Z żadnym z nich - odparła. - A co do Carla, to nigdy nie był moim chłopakiem, nie mam pojęcia, czemu pozwoliłam ci w to uwierzyć. Prawie go nie znałam, po prostu pracowaliśmy razem.

Oczy Haze'a zaślniły. Złapał ją za nadgarstek i pociągnął lekko, tak że wylądowała na łóżku tuż obok niego.

- Pamiętaj, nigdy nie będę dla ciebie kochaniem, któremu wystarczy, że raz na jakiś czas zaprosisz go do siebie. Twój dom, twoja sypialnia, a nawet ty nosić będziesz na sobie mój ślad - powiedział, pochylając się nad nią. - Musisz się do tego przyzwyczaić, czy chcesz, czy nie chcesz.

Lori poczuła szalone bicie swego serca. Całe jej ciało reagowało na jego bliskość, jednak to, co mówił, irytowało ją niezmiernie.

Chwilę później usta Haze'a spoczęły na jej wargach. Jego pocałunki były na przemian delikatne i namiętne, czułe i gorące. Gdy podniósł ponownie głowę, Lori z trudem mogła chwycić oddech.

- Lubię twój wyraz twarzy, kiedy cię całuję - wyznał, pomagając jej się podnieść.

Uciekła od niego czym prędzej, przekonana, że jeśli choć na chwilę zostanie w jego ramionach, spędzi resztę dnia w łóżku. Zerknęła w lustro. Włosy miała w nieładzie, na jej policzkach pałały rumieńce, lekko nabrzmiałe usta nosiły resztki szminki. Popatrzyła na Haze'a. Wyglądał porywająco, wręcz idealnie. No, może nie do końca idealnie, bo przecież miał zbyt szerokie ramiona. Cóż, nikt nie jest doskonały, pomyślała, bezwiednie zwilżając wargi językiem.

- Czy zrobisz to dla mnie i będziesz miała ten wyraz twarzy przez cały dzień i nie zmienisz go aż do samego wieczora? - spytał żartobliwie.

Lori szybko wyszła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Z dala dobiegł ją gromki śmiech Haze'a.

Jechała do pracy w strugach deszczu, nie mogąc przestać się uśmiechać. Nigdy w życiu nie zdarzyło jej się ulec i tak bardzo się z tego cieszyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stan zdrowia Roberta poprawił się na tyle, że lekarze pozwolili mu na powrót do Queensland.

- Firma, w której pracuje Robert, obiecała, że zapłaci również za wynajęcie pielęgniarki. Już się nie mogę doczekać, kiedy zabiorę go do domu - powiedziała Jackie, jednocześnie przetrząsając kuchnię w poszukiwaniu zabawek Amandy. - Zostawiam Haze'owi na lotnisku wynajęty samochód. A właśnie, prosił, żebym ci przekazała, że musiał polecieć do Hobart, żeby się spotkać z jakimś tam ekspertem. Zadzwoń, żeby ci powiedzieć, kiedy dokładnie przylatuje.

- Aha - mruknęła Lori, niezadowolona, że o planach swego męża dowiaduje się od szwagierki. Wykonała w myślach szybkie obliczenia i wyszło jej, że Haze powinien wrócić mniej więcej na dziesiątą wieczorem.

Już się nie mogła go doczekać. Miała jeszcze trochę czasu, więc zaplanowała, że weźmie długą pachnącą kąpiel, a potem przebierze się w tę uroczą koszulkę koloru brzoskwini, którą dziś kupiła w przerwie między spotkaniami służbowymi. Gdy Haze już przyjdzie, na stole pojawi się kawa, brandy i czekoladki.

Przypomniała sobie słowa, które wypowiedział -tego ranka. Brzmiały prawie jak deklaracja miłości. Chciał, żeby ich małżeństwo było prawdziwe, to już powiedział wcześniej. Dzisiaj tylko to potwierdził. Wieczorem, postanowiła, wyznam mu, że go kocham. Nagle przeraziła ją ta myśl. A co stanie się z jej aspiracjami? Przecież w jej życiu nie ma miejsca na mężczyznę, a zwłaszcza na Haze'a Callahana, który nie chciał zajmować tylko małej przegródki w jej sercu...

- Słyszałam', że była wczoraj na wystawie obrazów twojej kuzynki - dobiegły ją słowa szwagierki.

Lori zamrugła gwałtownie oczyma. Miała wrażenie, że nie dosłyszała czegoś niezmiernie ważnego.

- Ale kto? - zapytała.

- Justine - wyjaśniła Jackie. - Mam nadzieję, że dotrze to wreszcie do niej raz na zawsze. Szkoda mi jej, ale naprawdę dała się Haze'owi we znaki. Nie cierpię natrętnych mężczyzn, ale natrętne kobiety są chyba jeszcze gorsze.

- Natrętne? - powtórzyła zdziwiona Lori.

- Nie powiedziałabym tego, gdybym nie uważała cię za osobę w pełni dojrzałą i zrównoważoną - Jackie zaczęła niepewnie. - Wiesz chyba, że mój brat spotykał się swego czasu z Justine. Niedługo, mniej więcej przez rok-

Przez rok?! Dojrzała i zrównoważona Lori poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

- Kiedy zerwali, Justine nie mogła się z tym pogodzić - ciągnęła szwagierka. - Kupiła nawet dom niedaleko jego domu i zaraz się tam przeprowadziła. Codziennie wpadała na pogawędkę, telefonowała, ciągle miała nadzieję, że uda jej się ponownie rozniecić dawny płomień i Haze do niej wróci. W dodatku przekonała syna, że jeśli będzie się bardzo starał, może Haze zostanie jego ojcem. Wiele razy zastanawiałam się, czy Tony nie zawisł na tej starej linii umyślnie...

- Chyba nie - mruknęła Lori, krojąc pomidory na sałatkę. Czemu tak bardzo ją wzburzyły rewelacje Jackie?

- Ciekawe, że ciągle działo się coś takiego, co dawało Justine pretekst, by móc się wyplakać na ramieniu Haze'a. Powtarzałam mu tyle razy, że jest za miękki, że powinien jej otwarcie powiedzieć. Zawsze odpowiadał, że czuje się za nią odpowiedzialny i nie chce sprawić przykrości ani jej, ani Tony'emu. Zresztą sama wiesz, jaki jest Haze.

Jackie znalazła fioletową żyrafę za pojemnikiem na chleb i wyszła pomóc Amandzie szukać jej ulubionego misia.

Poznała więc przyczynę, dla której Haze zmienił zdanie co do jej wariackiej propozycji. Przypomniała sobie teraz jego wyraz twarzy, jakby przeprowadzał kalkulację zysków i strat. Zapewne wtedy już przyszło mu do głowy, że to małżeństwo pomogłoby mu pozbyć się Justine raz na zawsze. Bo jak tu przekonać byłą kochankę, że miłość się skończyła? Oczywiście, żeniąc się z kimś innym. A ja, głupia, drżałam z radości, że nie powiedział o niczym Justine, wyrzucała sobie w duchu Lori. Myślałam, że kochał mnie skrycie i dlatego pragnął, by nasze małżeństwo było prawdziwe. Że to dlatego urządził taką romantyczną ceremonię zaślubin. Tymczasem jemu cały czas chodziło o to, by Justine uwierzyła w prawdziwość ich małżeństwa. A że nie powiedział nic swej rodzinie i przyjaciółom? To proste, skoro oni w to wierzyli, to było pewne, iż uwierzy również Justine.

Jak mogła być taka naiwna? Taka niemądra? Powinna była to przewidzieć, wycofać się w porę, a nie snuć mrzonki o miłości. Powinna była trzymać się swych życiowych celów, swych żelaznych reguł...

Stanowczo było w tym wszystkim za dużo rozmaitych zbiegów okoliczności. Po pierwsze, zjawia się ni z tego, ni z owego u brzegu jej wysepki i podpływa do skały, na której siedzi ona. Po drugie, przychodzi nie zaproszony na wystawę obrazów Fairlie, po czym „przypadkiem” spotyka tam Justine. Po trzecie, odbiera rano telefon w jej sypialni, jakby tu mieszkał. Nigdy nie wiadomo, czy to nie dzwoni Justine, by przekonać się, co do prawdziwości jego słów.

Lori postanowiła, że najlepiej będzie, gdy podejdzie do sprawy w sposób nowoczesny. Nie ma co snuć domysłów co do zamiarów Haze'a Callahana. Po prostu spędziła z nim upojną noc i to wszystko. Jako wiecznie zapracowana kobieta biznesu potrzebowała rozładować napięcie seksualne. Żadnych zobowiązań, żadnych obietnic. Całe tabuny czytelniczek „Cosmopolitana” zazdrościłyby jej tego przeżycia.

W tym momencie Amanda przerwała jej rozważania, wbiegając w podskokach do kuchni.

- Do widzenia, ciociu Lori - powiedziała, przytulając się mocno. - Przyjedziesz do nas, kiedy tatuś wyzdrowieje, prawda? Pokażę ci mój domek dla lalek.

- Wspaniale - wydusiła z siebie z trudem. Wzięła małą na ręce i uściskała ją serdecznie. - Będę za tobą tęsknić.

Jackie ucałowała ją w oba policzki, w jej oczach kręciły się łzy wzruszenia.

- Dziękuję ci za wszystko, Lori. Cieszę się, że to właśnie ty jesteś moją bratową.

Teraz powinnam jej powiedzieć prawdę, myślała Lori. Że nigdy nie byli prawdziwym małżeństwem. Że związała ich tylko umowa, z której obydwójce czerpali wyraźne korzyści. Jednak nic takiego nie powiedziała...

Gdy Jackie i jej córka odjechały, Lori snuła się po domu Woody, który kiedyś wydawał się ciepłą, słoneczną przystanią, a teraz był jedynie solidnym budynkiem, nie oferującym niczego więcej poza schronieniem przed deszczem.

Nieoczekiwanie, kiedy jej gniew zaczął wyparowywać, w głębi serca pojawiła się iskierka nadziei. Może jednak podejrzewała go niesłusznie? Może zbyt szybko wyciągnęła wnioski?

No tak, ale wszystkie logiczne argumenty wskazywały na to, że jednak Haze wykorzystał ją do swych celów. Zresztą może i wierzył w to, co powiedział jej tego ranka, ale nawet nie potrafił znaleźć paru chwil, aby osobiście zawiadomić ją o swym wyjeździe na Tasmanię.

Lori powędrowała do sypialni i rozejrzała się dookoła. Nie zostawił po sobie ani śladu, nie licząc owego tomiku poezji, w którym tkwiła koperta z rachunkiem z gazowni.

Parę godzin później zadzwonił telefon, ale w słuchawce odezwał się zupełnie obcy głos i poinformował ją, że pan Callahan musiał zatrzymać się na wyspie i nie przyleci tego wieczoru.

Następnego dnia po południu Lori wizytowała budowany przez Tate Corporation biurowiec. Lodowaty wiatr hulał między rusztowaniami, tak że była już zmarznięta do szpiku kości.

- Ktoś do pani, pani Tate - poinformował ją przez radio jeden z majstrów.

Winda ruszyła w dół. Pochylona nad projektem, zastanawiała się, który z architektów do niej jedzie i jaki szykuje się problem.

Tymczasem z windy wysiadł nie architekt w kasku ochronnym, ale Haze.

- Co ty tu robisz? - powitała go chłodno, choć jej serce waliło jak szalone.

Popatrzył na nią uważnie, zdumiony tym widocznym brakiem entuzjazmu. Towarzyszący jej inżynierowie dyskretnie wycofali się, mówiąc, że idą obejrzeć północną ścianę budynku.

- Nie wiem czemu, ale sądziłem, że będziesz -zadowolona z mego widoku - odparł z kpina w głosie.

Cóż za tupet. Wystarczyła jedna noc i już mu się wydawało, że oszalała na jego punkcie.

- Nie nosisz już tej pięknej koszulki ze wskazówkami, jak prawidłowo ugasić ogień? Nic dziwnego, pewnie już zdusiłeś ostatnią iskierkę.

Haze popatrzył na nią z osłupieniem, a jednocześnie z wyrzutem.

- Wyjaśnij mi to - zażądał.

- Jackie powiedziała mi o Justine. Powinieneś wtajemniczyć mnie w swe plany, zanim odegrałeś to przedstawienie w galerii. Nie wątpię, że małżeństwo ze mną było najbardziej przekonującym argumentem, jaki mogłeś jej przedstawić, ale nie podoba mi się to, że manipulowałeś mną jak marionetką. - Czekwała przez chwilę na jego reakcję, ale że nie zrobił

nic poza zaciśnięciem szczęki, mówiła dalej. - Zrozumiałam też, czemu tak zależało ci na odebraniu rano tego telefonu. Wiedziałaś, że Justine będzie chciała sprawdzić, czy powiedziałeś jej prawdę, ponieważ nie uważała nas za dobraną parę. No, ale kiedy usłyszała twój głos w słuchawce o piątej rano, nie mogła mieć już żadnych wątpliwości. Podejrzewam, że nawet zaplanowałeś to, że znajdziesz się tej nocy w moim łóżku.

- Zadzwoń do mnie, nie pamiętasz? - przypomniał jej schrypniętym głosem. - Z posterunku policji.

Lori sama już zauważyła, że ten jeden element psuje nieco tok jej rozumowania, ale postanowiła nie przejmować się tym.

- Przypuszczam, że i tak znalazłbyś się w mojej sypialni w ten czy inny sposób. - Z rezygnacją machnęła ręką.

- Ty w to nie wierzysz, prawda? - zaczął z wyraźną ulgą w głosie. - To niemożliwe. Wystraszyłaś się, że zajmę zbyt dużo miejsca w twoim życiu i teraz szukasz argumentu, żeby się wycofać. - Mówiąc to, postąpił krok do przodu, na co ona zareagowała cofnięciem się. Haze uśmiechnął się, przekonany o słuszności swej teorii. Podszedł jeszcze bliżej, tak że zmuszona była oprzeć się o barierkę.

- Spodziewałem się tego - ciągnął. - Sama przecież powiedziałaś, że nie jesteś przyzwyczajona do dzielenia z kimś domu. Lubisz mieć pełną kontrolę nad wszystkim, a tu nagle ci jej zabrakło, kiedy odkryłaś, jak bardzo mnie pragniesz. Ale w tym nie ma nic złego, Lauro, kochanie...

- Och, przestań mnie traktować z wyższością - burknęła, przestraszona reakcją swego ciała na jego bliskość.

- Powiedziałaś, że mnie potrzebujesz i biegłem do ciebie, bo nie sądziłem, że kiedykolwiek usłyszę takie słowa z ust niezależnej pani Tate. - Pochylił głowę i jego wargi musnęły delikatnie jej skroń.

Lori zadrżała. Na własnej skórze mogła się przekonać, że ten, kto kocha, jest na łasce ukochanej osoby.

- Chyba nie sądzisz, że mogłabym zadzwonić do Marka lub któregoś z wujów, by odebrali mnie z posterunku policji - prychnęła. - Do końca życia nie daliby mi spokoju.

Haze zmarszczył na chwilę brwi, ale szybko się rozchmurzył.

- Chcesz mi wmówić, że wybrałaś mnie, bo było ci to na rękę? - Pokręcił głową z uśmiechem. - Nie, Lauro, kochanie, to ci się nie uda. Chodziło ci tylko o mnie, słyszałem to w twoim głosie.

- Jesteś taki arogancki - mruknęła.

- Kiedy policjant powiedział mi, że czeka na mnie moja żona, nie wierzyłem własnym uszom - wyznał, głaszcząc ją czule po policzku.

Lori wiedziała, że jeśli teraz nie przemówi, będzie zgubiona.

- Co ty tam wiesz! - zachnęła się. - Myślę, że mogę ci to wreszcie powiedzieć, Haze, że nie powinieneś przywiązywać tak wielkiej wagi do faktu, iż posłużyłam się wtedy twoim nazwiskiem.

- Rzeczywiście, zrobiło to na mnie wrażenie - uśmiechnął się łagodnie. - Lori Tate publicznie przyznała się do mnie, swojego męża. Wiedziałem, że prędzej czy później to się stanie.

Był tak pewny jej uczuć, a ona tak niepewna jego... To niesprawiedliwe, pomyślała gorzko.

- Cóż, było mi wtedy bardzo na rękę przedstawić się jako pani Callahan - zaczęła - Na posterunku spostrzegłam reportera, który na szczęście mnie nie rozpoznał. Wiedziałam, że gdyby usłyszał nazwisko Tate, byłabym zgubiona. Nie miałam ochoty stać się bohaterką sensacyjnego artykułu, zwłaszcza teraz, gdy ubiegam się o stanowisko Carsona...

Miała nadzieję, że zapomniał już, jak mało dbała o swą reputację owego wieczoru w galerii. Wyraz twarzy Haze'a powiedział jej, jak bardzo zabolalo go jej wyznanie. Gdyby mogła, cofnęłaby te słowa, zwłaszcza że nie były one zgodne z prawdą, jednak było już za późno.

- Na pewno wyda ci się to śmieszne, ale nie przyszło mi to do głowy - odparł z bolesnym uśmiechem. - Nie przewidziałem, że zawsze istnieje jakieś praktyczne wytłumaczenie tego, co robisz. - Odwrócił się i zaczął chodzić w tę i z powrotem po rusztowaniu. - Niesłychane, żeby dorosły mężczyzna był taki łatwowierny, prawda? - prychnął. - Cóż, właściwie od początku było wiadomo, że nic z tego nie będzie. Tylko w łóżku było nam dobrze razem.

- Mógłbyś mówić ciszej? - upomniała go, rozglądając się, czy ktoś mógł go usłyszeć.

Haze podszedł znów bliżej.

- Obawiasz się, że twoi pracownicy usłyszą, jaką mają namiętą panią dyrektor? Że ta chłodna na pozór kobieta potrafi się więc w mych ramionach i błagać o jeszcze?

Lori zarumieniła się z zażenowania. Uniosła rękę, by go uderzyć, ale on był szybszy. Chwycił ją za nadgarstek i zaczął gładzić ją po rękę niespodziewanie delikatnie. Tak bardzo chciała wyznać mu swą miłość,

lecz rozsądek nakazywał jej milczeć. Gdyby Haze powiedział choć jedno ciepłe słowo, może wtedy...

- Przepraszam - odezwał się cicho. - Nigdy nie umiałem przegrywać.

Tylko tyle? A więc rozpatrywał ich ewentualny związek w kategoriach wyzwania oraz przegranej bądź wygranej... Powinna była się tego spodziewać. Wszyscy mężczyźni, których znała, myśleli w ten sposób.

A może nie byłoby nam tak źle razem, przemknęło jej przez myśl. Raz bylibyśmy razem, potem znów osobno. Nie chciał przecież wiązać się zbyt mocno, a i mój tryb życia wymagałby czasem rozłąki... Nie, nic by z tego nie wyszło. Nie mogłaby żyć w tak nierównym związku. Kochała go i pragnęła wzajemności. Nie mogłaby znieść myśli, że on jej nie kocha...

Głosy inżynierów przybliżały się coraz bardziej.

- Na mnie już czas - oznajmił Haze nieswoim głosem. - Jutro spotkam się z moim prawnikiem i poproszę go o przygotowanie dokumentów rozwodowych. Do widzenia.

Przyjechała winda, a z niej wysiedli inżynierowie. Haze zamienił z nimi parę uprzejmych słów i wszedł do windy. Jeden z przybyłych wyjął arkusz z planem budynku i pokazał go Lori.

- Jak pani widzi, prace przy wzmocnieniu konstrukcji są już na ukończeniu... - tłumaczył, wskazując coś na rysunku.

Lori wpatrywała się tępo w plany, które miała przed oczyma. Muszę odzyskać równowagę ducha, muszę, powtarzała uparcie w myślach. Zebrała się w sobie i już po kilku chwilach była w stanie rozsądnie rozmawiać z inżynierami o planie pracy na najbliższe dni. Tylko w okolicy serca czuła wciąż dziwny chłód...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Lori, przedstawiciele fundacji wraz z burmistrzem będą tu za dwadzieścia minut - poinformowała ją asystentka, kładąc na biurku stos dokumentów. - Wszystkie liny leżą już przygotowane na dachu, a kaskaderzy rozgrzewają się na parkingu. Aha, fotoreporterzy chcieliby zrobić parę zdjęć... chcą uchwycić moment, jak życzysz powodzenia uczestnikom pokazu.

Lori westchnęła ciężko i wyszła z zawałonego dokumentami biurka. Z rezygnacją spojrzała na oczko w nowej pończosze.

- Dzięki, Sandro. Czy przygotowałeś mi listę uczestniczących w pokazie kaskaderów?

Sandra wyjęła z teczki kartkę papieru i podała ją Lori.

- Proszę. Jak chcesz, mam zapasowe, mogę ci pożyczyć -dodała, wskazując ruchem głowy jej podarte pończochy.

- Dzięki, mam jeszcze jedną parę-odparła i wyszła do przyległego pomieszczenia, aby się przebrać.

Wróciwszy do gabinetu, usiadła ponownie za biurkiem i wyjrzała przez okno na ruchliwe ulice Brisbane. Od lat marzyła, by móc codziennie podziwiać ten widok, ale teraz, kiedy już od jakiegoś czasu zajmowała gabinet dyrektora naczelnego Colossusa, zupełnie jej to nie pociągało.

Było lutowe popołudnie, a błękitnego nieba nie kalala ani jedna chmurka. W Melbourne taki dzień należałby do rzadkości, ale tu, w Brisbane, był czymś normalnym.

Kiedyś Lori nawet nie przyszłoby do głowy, że opuści dom

Woody i wyjedzie z Melbourne, jednak gdy dwa miesiące upłynęły od owego pamiętnego sierpniowego dnia na budowie, odkryła, że tak naprawdę źle się czuje w upragnionym niegdyś domu. Nie umiała znaleźć sobie nigdzie miejsca, nie miała prawdziwego domu...

- Lori, burmistrz właśnie nadjechał - Sandra powiadomiła ją przez interkom.

- Już idę.

Zerknąwszy do lustra, poprawiła szybko fryzurę i udała się do wyjścia. Ta akcja charytatywna zabierała jej dużo czasu, ale warto było, choćby z tego względu, że firma zdobywała przez to powszechny szacunek. Lori nie była pewna, czy akurat to przedsięwzięcie przyniesie fundacji spodziewane wpływy, ale cel był szczytny, więc postanowiła się włączyć.

Fundacja na rzecz dzieci chorych na białaczkę postanowiła bowiem zorganizować pokaz umiejętności grupy kaskaderów, którzy mieli zjechać na linach z dachu Colossusa.

Gdy znalazła się na parkingu przed biurowcem, przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i podeszła do burmistrza oraz przedstawicieli fundacji. Chwilę później grupa kaskaderów, ubranych w nieco dziwaczne kombinezony, ruszyła w ich kierunku.

- Powodzenia - powiedziała Lori, uśmiechając się uprzejmie do każdego ze śmiazków. - Powodzenia, Jim. Powodzenia, Lynette. Philip. Jason. Powodzenia.... - odezwała się do przedostatniego uczestnika pokazu, zerkając na naszywkę z jego imieniem. Gdy przeczytała, co było na niej napisane, zastygła w bezruchu. Znajome ciemnoniebieskie oczy patrzyły na nią z uwagą. -... Haze - dokończyła.

- Dziękuję pani - odpowiedział.

Lori przyjrzała mu się badawczo, czy aby na pewno jest cały i zdrowy, tyle razy bowiem śnił jej się, jak stał na skraju przepaści bądź zniknął z powierzchni wody. Na szczęście były to tylko sny...

- Haze - powtórzyła bezwiednie.

- Jeśli nie przestaniesz powtarzać mego imienia, wszyscy reporterzy zaczną się nami interesować - ostrzegł. - A propos, czemu nie podpisałaś jeszcze papierów, które ci przysłałem? To nie w twoim stylu.

- Mogłeś mnie przynajmniej powiadomić, że tu będziesz - syknęła ze złością, przywołana do porządku jego kpiącym tonem. - A może to twój kolejny świetny dowcip, taki, jak tamta morałowa limuzyna z lalką na masce?

- Liczyłem na to, że będziesz w tym czasie w swoim gabinecie i pomacham ci, gdy znajdę się za twoim oknem. Pięknie wyglądasz. - Spojrzał na nią ciepło. - Zmieniłaś trochę styl.

Cała się zmieniłam, dodała w myśli. Duża w tym twoja zasługa.

- Jackie jest w szpitalu w Brisbane - oznajmił nagle. - Ma jakieś powikłania w związku z ciążą. Prosiła, żebyś ją kiedyś odwiedziła. Jak zawsze optymistka...

- Powikłania? - zmartwiła się Lori. - Co się...?

Nie zdążyła dokończyć, gdyż ostami z kaskaderów, widocznie zniecierpliwiony przedłużającą się rozmową, sam wyciągnął do niej rękę.

- Jakie zimne ręce - zawołał ze śmiechem, kiedy Lori uściśniła jego dłoń.

Zimne ręce. Może więc je ogrzejesz, Lauro, kochanie... Na wspomnienie tamtej nocy Lori zarumieniała się po same uszy.

Grupa kaskaderów ruszyła w kierunku biurowca. Lori spojrzała na ów budynek. W porównaniu z drapaczami chmur nie był wcale wysoki, ale mimo to pomysł zjechania na linie z jego dachu wydawał się niezwykle ryzykowny. Zadrżała na myśl, że któryś z jej koszmarnych snów mógłby się okazać proroczy. Niewiele myśląc, pobiegła .w kierunku wejścia do biurowca. Haze, słysząc stukot jej obcasów, odwrócił się i patrzył ze zdumieniem na jej zbliżającą się sylwetkę.

- Proszę cię, uważaj na siebie - wyszeptała, gdy już znalazła się przy nim.

- Czyżbyś obawiała się, że i na mnie rzuciłaś urok? - zakpił. - Proponuję, żebyśmy wreszcie rozwiali ten mit - dodał, obejmując ją w tali.

W następnej chwili ich usta spotkały się w namiętym, tęsknym pocałunku. Lori nie dbała o to, że obserwują ich setki par oczu, że taki nierozważny krok może zagrozić jej karierze. Nic się nie liczyło, prócz bliskości człowieka, którego kochała, za którym tęskniła przez tyle długich tygodni...

Haze podniósł powoli głowę i zajrzał swej żonie głęboko w oczy. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwrócił się na pięcie i dołączył do reszty grupy.

Pokaz na szczęście zakończył się pełnym sukcesem. Lori chciała pobiec do Haze'a i powiedzieć mu wszystko to, co od pół roku leżało jej na sercu, ale musiała wziąć udział w małym przyjęciu, zorganizowanym w sali reprezentacyjnej Colossusa. Jednak jej myśli wciąż biegły ku pewnemu ciemnowłosemu mężczyźnie, który potrafił niegdyś sprawić, że gotowa była zrezygnować ze swych życiowych aspiracji...

Tymczasem Haze siedział wraz z innymi bohaterami pokazu w przytulnym pubie i oddawał się rozważaniom na temat złożonej natury kobiet. Na przykład Lori. Niby taka wykształcona i trzeźwo myśląca, a jednocześnie niesłychanie przesądna. Tak bardzo się obawiała, że i na niego rzuciła urok.

Miała kompletnego bzika na punkcie swej kariery, zawodowego image, a jednak bez wahania zabrała dziecko do pracy i przez cały dzień nosiła błyszczący naszyjnik ze spinaczy, wykonany przez Amandę, nie chcąc łamać obietnicy, danej małej smutnej dziewczynce.

Dziś natomiast zrobiła coś niewyobrażalnego. Na oczach licznie zgromadzonych reporterów podbiegła do niego i poprosiła, by na siebie uważał. Jak to możliwe, by Lori Tate tak nagle przestała zwracać uwagę na wszystko dookoła? Chyba że... W tym momencie dotarło do niego, co mogło być przyczyną tej zmiany. Szybko pożegnał się ze wszystkimi i wybiegł do samochodu. W drodze do Colossusa powtarzał w myślach wszystkie argumenty, które przemawiały za jego tezą. Po pierwsze, odwzajemniła bez wahania jego pocałunek. Po drugie, nie zważając na obecność fotoreporterów pobiegła za nim, by poprosić go o rozwagę. Po trzecie, nie podpisała papierów rozwodowych. Po czwarte, zarumieniła się jak pensjonarka, kiedy zobaczyła go w grupie kaskaderów.

Ledwo zajechał na parking i wysiadł z samochodu, w drzwiach biurowca ukazała się Lori w towarzystwie kilku elegancko ubranych mężczyzn. Nie ma sprawy, mogę chwilę poczekać, pomyślał. Spodziewał się, że kiedy tylko Lori skończy rozmowę z nimi, podbiegnie do niego z uśmiechem na ustach.

Jednak stało się inaczej. Wprawdzie zauważyła go i patrzyła długo w jego kierunku, ale nie podeszła. Pokręciła tylko lekko głową, po czym wsiadła do eleganckiego samochodu i odjechała wraz z innymi.

Jeśli spodziewała się, że będzie na nią czekał w nieskończoność, to się grubo pomyliła. Haze trzasnął drzwiami swego samochodu terenowego i odjechał z piskiem opon. Zapewne podpisała już te dokumenty, tylko leżały jeszcze nie wysłane, a co do tych jej rumieńców, to na pewno były zasługą cieplej, słonecznej pogody...

Nie rozumiał tylko jednego. Czemu, na litość boską, tak do niego biegła, skoro jej na nim nie zależało? Pewnie już nigdy się tego nie dowie.

Z bukietem kremowych tuberoz w dłoni Lori przemierzała szpitalne korytarze w poszukiwaniu sali, w której leżała Jackie. W głębi serca miała nadzieję, że spotka tam Haze'a, z którym nie widziała się od czasu owego pokazu. Myślała, że może zechce się z nią skontaktować, ale, niestety, nie zechciał...

Obok łóżka Jackie siedział wysoki rudy mężczyzna o piegowatej twarzy.

- Robert Duncan - przedstawił się, uśmiechając się wesoło. - Dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłaś, kiedy byłem w szpitalu.

Jackie przyjęła z wdzięcznością kwiaty i serdecznie wyściskała bratową, a następnie przedstawiła jej maleńkiego Christophera Roberta Duncana, który słodko spał w kołysce.

- Pospieszył się o całe dwa tygodnie - oznajmiła z dumą w głosie. - Miałam właśnie wyjść ze szpitala, gdy zaczął się poród. Mama jeszcze o niczym nie wie, podobnie jak Haze - posmutniała. - Bardzo chciałabym przesłać mu wiadomość, bo strasznie się o mnie martwił, ale radiostacja w jego szkole nie działa. Jeśli wyjdzie z grupą do lasu, nie odnajdziemy go przez kilka tygodni...

Słyszając to, Robert zmarszczył brwi i chciał coś wtrącić, ale żona spojrzała nań znacząco, więc się nie odezwał.

- A co z Tomem? - podsunęła Lori. - Może zastaniecie go, gdy zadzwonicie jeszcze raz?

- Och, Tom wyjechał - westchnęła Jackie, ściskając rękę męża. - Gdyby znaleźć kogoś, kto zechciałby tam pojechać... - Spojrzała na Lori błagalnie. - Lori, czy mogłabyś to dla mnie zrobić? Wiem, że byłoby to dla ciebie trochę kłopotliwe, ale nie będę w stanie zmrużyć oka, póki nie upewnię się, że ktoś przekaże mu tę nowinę...

Polecieć do Haze'a, by oznajmić mu, że ma siostrzeńca? O nie, pomyślała Lori. Mam mnóstwo pracy, nie mogę. Jestem bardzo zajęta.

- Dobrze - westchnęła. - Pojadę.

- Naprawdę? Jesteś cudowna! - Jackie uśmiechnęła się radośnie. - Christopher Robert, trzy i pół kilograma, urodzony wczoraj o wpół do dwunastej w nocy.

Polecę do niego, pomyślała. Od tygodni nie marzyłam o niczym innym. Mam mu tyle do powiedzenia...

Samolot wylądował na miejscu około południa. Lori wynajęła samochód i wyruszyła w kierunku posiadłości Haze'a. Wszystko było dobrze, póki nadjeżdżający z przeciwka samochód tumanem kurzu nie zasłonił jej drogi. Jej auto zjechało wtedy z suchej nawierzchni i utknęło w błocie. Na próżno naciskała pedał gazu, koła coraz bardziej zagłębiały się w miękkim podłożu. W końcu wysiadła, by z zewnątrz przyjrzeć się sytuacji. No tak, powinna była wynająć samochód z napędem na cztery koła. Tak na pewno zrobiłby Haze.

Nie chcąc marnować cennego czasu, postanowiła przebiec resztę drogi. Czekają ją niewiele ponad dwadzieścia kilometrów, czyli połowa maratonu. Najgorszy problem stanowiły buty, które nie bardzo nadawały się do biegania, ale nie było ani chwili do stracenia. Lori miała nieodparte wrażenie, że jeśli nie porozmawia z Haze'em przed jego wyprawą do dżungli, już nigdy go nie zobaczy.

O trzynastej trzydzieści ruszyła z miejsca awarii samochodu, natomiast bramę z napisem „Callahan” minęła tuż przed szesnastą. Był to bardzo kiepski wynik, jak na kogoś, kto zwykle przebiega połowę maratonu w niespełna dwie godziny, ale potworny upał, brak napoju oraz liczne obtarcia na stopach dały jej się we znaki. W oddali zauważyła ludzi objuczonych plecakami.

- Haze! - zawołała, ale nikt jej nie usłyszał. Kulejąc, pobiegła dalej. Gdy zbliżyła się do nich jeszcze bardziej, krzyknęła ponownie. Tym razem poskutkowało.

Ujrzała, jak Haze zrzuca z ramion plecak i biegnie w jej kierunku. Ten widok dodał jej sił. Teraz już mogła biec, gdyż miała do kogo. Nie miała gwarancji co do tego, że Haze ją kocha, ale musiała podjąć to ryzyko. Jeszcze tylko kilka kroków i znalazła się w jego objęciach. Zasypała jego twarz pocałunkami.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał, ledwo chwytając oddech. - Jesteś cała zakurzona.

- Z samochodu. Został tam - machnęła ręką w kierunku drogi. - Biegłam... Muszę ci coś powiedzieć. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Robert Christopher Duncan, trzy i pół kilo, oboje czują się świetnie - wyrecytowała.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że biegłaś całą drogę, by mi to oznajmić?

- Owszem - Ale mam ci coś jeszcze...

- Kobieto, ty chyba oszalałaś. Jesteś odwodniona, masz pokaleczone stopy, przecież mogłaś upaść i...

- Musiałam ci powiedzieć...

- Nonsens. Wcale nie musiałaś, przecież już wiem o dziecku Jackie. Sama mi o tym powiedziała przez telefon.

- Ale mnie nabrała - jęknęła Lori. - Powiedziała, że na pewno się martwisz... I że nie mogła się do ciebie dodzwonić...

- A to kochana siostrzyczka - mruknął. - Już ja jej za to natrę uszu. Przecież mogłaś się zabić. Pewnie wynajęłaś jakiś elegancki samochódzik. A mówiłem ci, że to niebezpieczna droga... Lori roześmiała się wesoło.

- Wiedziałaś, że to powiesz. Kocham cię, Haze.

- Pewnie wpadłaś w którąś z tych błotnistych dziur i... - urwał nagle. - Coś ty powiedziała? - spytał zdławionym głosem.

- Kocham cię - powtórzyła, gładząc go czule po policzku. - Nie wiem, hmm... Nie wiem, co ty czujesz... Przyjechałam, żeby ci o tym powiedzieć. Kocham cię i wiem, że masz do mnie pewną słabość, więc...

- Słabość?! - powtórzył z oburzeniem. - Ty to masz określenia! Przecież wiesz, że cię kocham - wyznał, patrząc jej głęboko w oczy, a chwilę później wyznanie to przypieczętował gorącym pocałunkiem, który przekonał Lori, że warto było tyle biec, by znaleźć się w jego ramionach...

Rozpoczęła się tradycyjne przedświąteczne przyjęcie w Tate Corporation. Wszyscy goście zgromadzili się już w przepięknie udekorowanej sali konferencyjnej.

- Hmm - mruknął wuj Errol na widok Lori w zielonej fal-baniastej sukience. - Nie uważasz, że to nieco zbyt frywolna suknia, Lorelei? Nie zapominaj, że jesteś dyrektorem. Jeszcze te włosy, jakieś takie... - Urwał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia dla jej nowej fryzury.

Lori wymieniła ze swym mężem rozbawione spojrzenia.

- Lorelei - odezwał się z kolei wuj Clark., - Słyszałem, że znowu chcesz przeforsować kandydaturę kobiety do zarządu. Oszczędź nam tych feministycznych kazań, wiesz, że mamy lepszego kandydata na to stanowisko. A tak nawiasem mówiąc, przydałaby ci się męska ręka - dodał, spoglądając znacząco na Haze'a.

Lori roześmiała się wesoło i przytuliła mocno do męża.

- To nasze pierwsze Boże Narodzenie we dwoje - wyszeptała.

- Pierwsze i ostatnie. W przyszłym roku będzie nas już troje - uśmiechnął się Haze. - Powiemy im teraz?

- Jeszcze chwileczkę. Chciałabym, żeby fotograf miał gotowy aparat, gdy oznajmimy im, że od niedawna mają w zarządzie ciężarną kobietę...